

FUNDACJA

'Archiwum i Muzeum Pomorskie

'Archiwum i Muzeum Pomorskie' (rajowej oraz Wojskowej Służby Polek'

7-100 Toruń, ul. W. Garbary 2

tel: 52-22-186, e-mail: archAK@um.torun.pl

REGON 870502736

A. Koj.

MEMORIAŁ

General Marii Wittek



ZWZ W-ura

Ravensbrück

fol. (Kson)

POCIŁOWSKA Zofia

zam. Kenn. (1946)

3671/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3671/LSK
Pociągowska Zofia
zam Kana

I/1. Relacja

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 23,5. 1-40

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie ✓ ksero pkt. 4 s. 1

II Materiały uzupełniające relację

- Relacja sporządzona przez B. Oratowską, [w:] [br.inf.], [b.d.],
mss, ksero, k. 3, s. 1-5 + kopia.

Przystata z komisji Historii Kobiet H. Szewczykowa i J. Podrygatto, 2005r.

- Z. Pociłowska, „Chodzimy nad pięknem oglądając kwiaty” [wspomnienie]
[w:] [br.inf.], [b.d.], ksero, k. 20, s. 6-40 + kopia.

Przystata H. Szewczykowa i J. Podrygatto, 2006r.



Przyświe 2KHK
ul. Podrypatko

H. Szewczykowe
17X 2005

2005 30 p. 282/05

II/1



Towarzystwo Miłośników Historii
KOMISJA HISTORII KOBIEC
W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ
Rynek Starego Miasta 29/31
00-272 WARSZAWA
tel. 831-63-14

FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 26.10.05
L. dz.: 3450/8544/2

Załączniki:

Referent:

Zofia Pociłowska urodziła się 3 marca 1920 roku w Charkowie. Matka Józefa Halińska pochodziła ze zubożałej szlachty z Podlasia. Ojciec Szymon Pociłowski w młodości kilka lat spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracował jako rzemieślnik. W czasie rewolucji październikowej znalazł się w Rosji i tam zawarł związek małżeński z Józefą Halińską. Pod koniec 1920 roku rodzinie Pociłowskich udało się wrócić do Polski. Początkowo zamieszkali w Wołkowyskach, a później w pobliskiej wsi Żarnówce, gdzie ojciec znalazł pracę kowala. Lata wczesnego dzieciństwa Zofia Pociłowska spędziła na typowej dla pogranicza białorusko-polsko-ukraińskiego wsi, co wspomina z wielką nostalgią. Tam ukończyła czteroklasową szkołę, ale wobec jej bardzo szybkich postępów w nauce ojciec zdecydował o przeprowadzce do Konstantynowa Podlaskiego. Miało to zapewnić córce lepsze warunki kształcenia. Z Konstantynowa rodzina Pociłowskich przeniósła się do Warszawy. Zofia została zapisana do szkoły powszechnej na ulicy Drewnianej (Powiśle), którą ukończyła z wynikiem bardzo dobrym. To pozwoliło jej dostać się jako stypendystce do elitarnego, bardzo drogiego żeńskiego Prywatnego Gimnazjum im. Anieli Wereckiej na ulicy Pierackiego

adres:
Zofie Pociłowskiej-Kemm
ul. J. Dębrowskiego 82 m. 18
02-571 Warszawa



11/2

(Foksal) w Warszawie. Gimnazjum miało status matematyczno-przyrodniczego, ale także przedmioty humanistyczne: historia, łacina, język francuski stały na bardzo wysokim poziomie. Zofia miała więc możliwość rozwijania szerokich zainteresowań literackich: poetyckich, recytatorskich i teatralnych. W 1938 r. zdała maturę i podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, na którym wykładowcami byli wówczas wybitni profesorowie, m.in. Juliusz Krzyżanowski, Witold Doroszewski i Stanisław Słoński. Na uniwersytecie panowała swoboda wyboru wykładów, toteż Zofia Pociłowska uczęszczała na wykłady z filozofii, a nawet teologii.

Wybuch II wojny światowej pokrzyżował życiowe plany Zofii Pociłowskiej. W styczniu 1940 r. złożyła przysięgę i wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej. Była kurierką w Warszawie, a później jej praca konspiracyjna obejmowała teren wschodniej Generalnej Guberni – Lublin, Zamość, Nakło, Siedlce. Aresztowana 19 marca 1941 r. w Ursusie pod Warszawą przez lubelskie gestapo, została przewieziona na Pawiak, a następnie do więzienia na Zamku w Lublinie. Po kilkudniowym śledztwie i przesłuchaniach w lubelskiej siedzibie gestapo „Pod Zegarem” została skazana na karę śmierci i 23 września 1941 r. wysłana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Sondertransport lubelsko-warszawski z 23 września liczył ponad 400 kobiet, w większości z wyrokami śmierci. Ponad 70 więźniarek z tego transportu zostało poddanych medycznym eksperymentom, a wiele z nich rozstrzelano w egzekucjach zbiorowych.

Panujący wszechwładnie terror, głód i wyczerpująca praca – to stałe elementy obozowej rzeczywistości. W tej sytuacji więźniarki zmuszone były toczyć nieustanną walkę o przetrwanie: zarówno o zachowanie życia, jak i o zachowanie człowieczeństwa. Podejmując tę walkę Zofia Pociłowska włączyła się w nurt konspiracyjnego życia obozowego. Nawiązała korespondencję z polskimi jeńcami wojennymi ze stalagu II A w Neustrelitz, przedstawiając się w pierwszym liście jako „Zofia Pociłowska studentka I roku polonistyki, Warszawa – Ursus, Konopnickiej 14”.

W tajnej korespondencji przekazywano informacje o sytuacji w obozie, o operacjach doświadczalnych i egzekucjach. Przygotowaniem tych materiałów zajmowały się między innymi: Wanda Wojtasik-Półtawska, Krystyna Czyż-Wilgat, Janina Iwańska, Wojciecha Buraczyńska-Zeiske, Bogumiła Bąbińska-Jasiuk – wszystkie z Sondertransportu. Przekazywano także wiersze poetek obozowych: Grażyny Chrostowskiej, Zofii Górskiej, Haliny Golczowej i Zofii Pociłowskiej. Jej utwór sceniczny pt. „Noc wigilijna”, przesłany pod nazwiskiem jednego z podchorążych na konkurs prac literackich powstałych w obozach jenieckich do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, otrzymał I nagrodę.

Za pośrednictwem podchorążych do Ravensbrück docierały książki, lekarstwa i środki opatrunkowe oraz żywność. W zamian więźniarki przesyłały im ochraniacze na nogi ze skórek króliczych, rękawice i drobne przedmioty rękodzieła artystycznego, m.in. rzeźby z trzonek szczoteczki do zębów autorstwa Zofii Pociłowskiej, Joanny Szydłowskiej, Ireny Bany czy haftowane przez Stefanię Sieklucką orzełki.

Przedmioty te powstawały w warsztacie artystycznym, uruchomionym w Ravensbrück jesienią 1941 r. Na 150 zatrudnionych w nim więźniarek było 120



Od lewej: medalion z wizerunkiem Janiny Starczewskiej, medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, krucyfiks z Matką Boską pod krzyżem, Ravensbrück 1944

II/4

Polek. Warsztat (Kunstgewerbe) zwany kunsztem, pozwalał chronić od ciężkich robót osoby najsłabsze oraz utalentowane artystycznie. Wyroby rzemiosła artystycznego odsyłano specjalnymi transportami do Berlina dla wysokich dostojników SS z Himlerem włącznie. W ukryciu w warsztacie robiono miniaturowe rzeźby z trzonek od szczoteczek do zębów, guzików czy kawałków drewna, w języku obozowym nazywane „sabotażykami”. „Dłubano” także poza kunsztem, jeśli zdobyto materiał i potrzebny nożyk. Można powiedzieć, że rzeźbienie stało się w obozie modą, dając jakby możliwość ucieczki w inny świat, w świat piękna, oderwania się od tej nie-ludzkiej rzeczywistości. Na szczególną uwagę zasługiwały prace: Ireny Bany, Jagi Dzikiewicz, Stefanii Lipskiej, Zofii Pociłowskiej, Stefanii Siekluckiej i Joanny Szydłowskiej.

To właśnie tam, w Ravensbrück, Zofia Pociłowska podjęła pierwsze próby rzeźbiarskie. Jak wspomina, małych rzeźb: orzełków, medalików, krzyżyków, kupidyn-



Portrecik Wojciechy Buraczyńskiej-Zeiske, Ravensbrück 1944

ków, zwierzątek wykonała całe mnóstwo, obdarowując nimi nie tylko współwięźniarki, ale także polskich jeńców ze stalagu II A. Namalowała także kilka portrecików swoich koleżanek (np. Wojciechy Buraczyńskiej-Zeiske).

Do Ravensbrück trafiły też znane malarki: Jadwiga Pietkiewicz, Maja Berezowska i Maria Hiszpańska, które również znalazły azyl w kunszcie.

„Widok piękna, choćby w najmniejszej formie, uwalniał od psychozy lagrowej, od narastającego w nas szaleństwa, że poza szpetotą i nędzą obozu nie istnieje już nic” – wspomina była więźniarka profesor Urszula Wińska. Stwierdza także, że po

biarskie. Jak wspomina, malutkich rze



Portrecik Wojciechy Buraczyńskiej-Zeiske,
Ravensbrück 1944

ków

wują

skich

ka p

Bura

D

ga P

ska,

„Y

uwal

w na

nie i

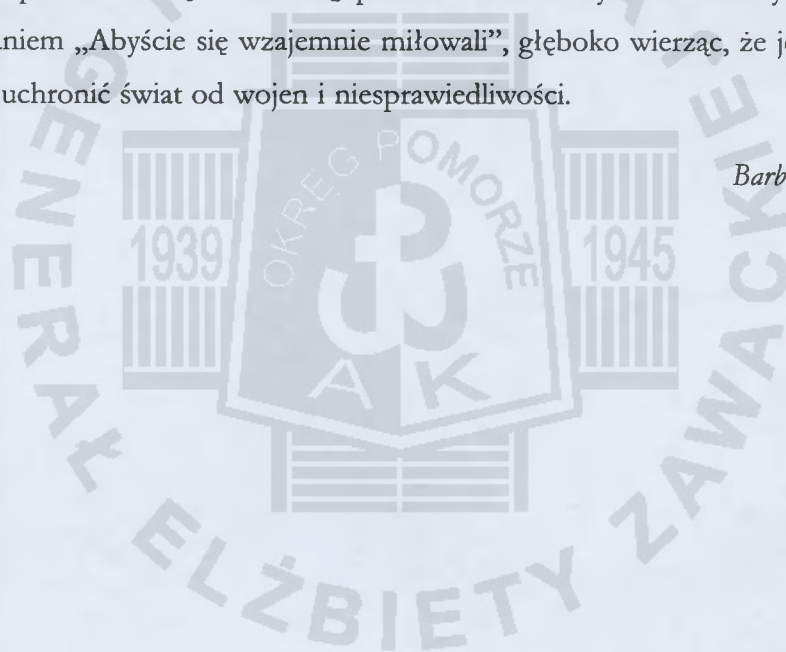
prof

powrocie do kraju zwiedziła różne galerie sztuki, ale nic nie przemawiało do niej tak silnie jak obozowe rzeźby z trzonek szczoteczek czy rysunki na papierowych opakowaniach po szamponie wykonane przez utalentowane więźniarki.

Życie w obozie, traktowane przez więźniarki jako czas wielkiej próby, wyrobiło w Zofii Pociłowskiej szacunek dla autentycznych wartości ludzkich. Stała się silniejsza moralnie i fizycznie, odporniejsza na trudy i cierpienia. Ravensbrück był dla niej szkołą hartu ducha i ciała.

15 maja 1945 r., wraz z Janiną Starczewską i jej mamą Heleną, Zofia Pociłowska powróciła z obozu do Warszawy. Zapisła się na Wydział Rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1946 r. poślubiła Piotra Kana. W czasie studiów urodziła cztery córki: Elżbietę, Karinę, Aleksandrę i Agnieszkę, w związku z czym była zmuszona na jakiś czas przerwać naukę. Studia ukończyła w czerwcu 1954 r. Do chwili obecnej uprawia rzeźbę kameralną, pisze wiersze. W życiu codziennym kieruje się przykazaniem „Abyście się wzajemnie miłowali”, głęboko wierząc, że jego realizacja pozwoli uchronić świat od wojen i niesprawiedliwości.

Barbara Oratowska



Przyjęta z KHK
mg. Podrygwa

H. Szenczykowie
17.5.2005



Towarzystwo Miłośników Historii
KOMISJA HISTORII KOBIEC
W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ
Rynek Starego Miasta 29/31
00-272 WARSZAWA
tel. 831-63-14

Ksero

Przebieg choroby HSK
K9 PK

Zofia Pociłowska urodziła się 3 marca 1920 roku w Charkowie. Matka Józefa Halińska pochodziła ze zubożałej szlachty z Podlasia. Ojciec Szymon Pociłowski w młodości kilka lat spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracował jako rzemieślnik. W czasie rewolucji październikowej znalazł się w Rosji i tam zawarł związek małżeński z Józefą Halińską. Pod koniec 1920 roku rodzinie Pociłowskich udało się wrócić do Polski. Początkowo zamieszkali w Wołkowyskach, a później w pobliskiej wsi Żarnówce, gdzie ojciec znalazł pracę kowala. Lata wczesnego dzieciństwa Zofia Pociłowska spędziła na typowej dla pogranicza białorusko-polsko-ukraińskiego wsi, co wspomina z wielką nostalgią. Tam ukończyła czteroklasową szkołę, ale wobec jej bardzo szybkich postępów w nauce ojciec zdecydował o przeprowadzce do Konstantynowa Podlaskiego. Miało to zapewnić córce lepsze warunki kształcenia. Z Konstantynowa rodzina Pociłowskich przenieśli się do Warszawy. Zofia została zapisana do szkoły powszechnej na ulicy Drewnianej (Powiśle), którą ukończyła z wynikiem bardzo dobrym. To pozwoliło jej dostać się jako stypendystce do elitarnego, bardzo drogiego żeńskiego Prywatnego Gimnazjum im. Anieli Wereckiej na ulicy Pierackiego

artykuł! 7

(Foksal) w Warszawie. Gimnazjum miało status matematyczno-przyrodniczego, ale także przedmioty humanistyczne: historia, łacina, język francuski stały na bardzo wysokim poziomie. Zofia miała więc możliwość rozwijania szerokich zainteresowań literackich: poetyckich, recytatorskich i teatralnych. W 1938 r. zdała maturę i podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, na którym wykładowcami byli wówczas wybitni profesorowie, m.in. Juliusz Krzyżanowski, Witold Doroszewski i Stanisław Słoński. Na uniwersytecie panowała swoboda wyboru wykładów, toteż Zofia Pociłowska uczęszczała na wykłady z filozofii, a nawet teologii.

Wybuch II wojny światowej pokrzyżował życiowe plany Zofii Pociłowskiej. W styczniu 1940 r. złożyła przysięgę i wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej. Była kurierką w Warszawie, a później jej praca konspiracyjna obejmowała teren wschodniej Generalnej Guberni – Lublin, Zamość, Nakło, Siedlce. Aresztowana 19 marca 1941 r. w Ursusie pod Warszawą przez lubelskie gestapo, została przewieziona na Pawiak, a następnie do więzienia na Zamku w Lublinie. Po kilkudniowym śledztwie i przesłuchaniach w lubelskiej siedzibie gestapo „Pod Zegarem” została skazana na karę śmierci i 23 września 1941 r. wysłana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Sondertransport lubelsko-warszawski z 23 września liczył ponad 400 kobiet, w większości z wyrokami śmierci. Ponad 70 więźniarek z tego transportu zostało poddanych medycznym eksperymentom, a wiele z nich rozstrzelano w egzekucjach zbiorowych.

Panujący wszechwładnie terror, głód i wyczerpująca praca – to stałe elementy obozowej rzeczywistości. W tej sytuacji więźniarki zmuszone były toczyć nieustanną walkę o przetrwanie: zarówno o zachowanie życia, jak i o zachowanie człowieczeństwa. Podejmując tę walkę Zofia Pociłowska włączyła się w nurt konspiracyjnego życia obozowego. Nawiązała korespondencję z polskimi jeńcami wojennymi ze stalagu II A w Neustrelitz, przedstawiając się w pierwszym liście jako „Zofia Pociłowska studentka I roku polonistyki, Warszawa – Ursus, Konopnickiej 14”.

✓ ✓ ✓
✓ ✓

W tajnej korespondencji przekazywano informacje o sytuacji w obozie, o operacjach doświadczalnych i egzekucjach. Przygotowaniem tych materiałów zajmowały się między innymi: Wanda Wojtasik-Póltawska, Krystyna Czyż-Wilgat, Janina Iwańska, Wojciecha Buraczyńska-Zeiske, Bogumiła Bąbińska-Jasiuk – wszystkie z Sondertransportu. Przekazywano także wiersze poetek obozowych: Grażyny Chrostowskiej, Zofii Górskiej, Haliny Golczowej i Zofii Pociłowskiej. Jej utwór sceniczny pt. „Noc wigilijna”, przesłany pod nazwiskiem jednego z podchorążych na konkurs prac literackich powstałych w obozach jenieckich do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, otrzymał I nagrodę.

✓

Za pośrednictwem podchorążych do Ravensbrück docierały książki, lekarstwa i środki opatrunkowe oraz żywność. W zamian więźniarki przesyłały im ochraniacze na nogi ze skórek króliczych, rękawice i drobne przedmioty rękodzieła artystycznego, m.in. rzeźby z trzonek szczoteczek do zębów autorstwa Zofii Pociłowskiej, Joanny Szydłowskiej, Ireny Bany czy haftowane przez Stefanię Sieklucką orzelki.

Przedmioty te powstawały w warsztacie artystycznym, uruchomionym w Ravensbrück jesienią 1941 r. Na 150 zatrudnionych w nim więźniarek było 120



Od lewej: medalion z wizerunkiem Janiny Starczewskiej, medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, krucyfiks z Matką Boską pod krzyżem, Ravensbrück 1944

Wojk 9 wite

Handwritten note: *Kunstgewerbe*
✓

Polek. Warsztat (Kunstgewerbe) zwany kunsztem, pozwalał chronić od ciężkich robót osoby najsłabsze oraz utalentowane artystycznie. Wyroby rzemiosła artystycznego odsyłało specjalnymi transportami do Berlina dla wysokich dostojników SS z Himlerem włącznie. W ukryciu w warsztacie robiono miniaturowe rzeźby z trzonek od szczoteczek do zębów, guzików czy kawałków drewna, w języku obozowym nazywane „sabotażykami”. „Dłubano” także poza kunsztem, jeśli zdobyto materiał i potrzebny nożyk. Można powiedzieć, że rzeźbienie stało się w obozie modą, dając jakby możliwość ucieczki w inny świat, w świat piękna, oderwania się od tej nieludzkiej rzeczywistości. Na szczególną uwagę zasługiwały prace: Ireny Bany, Jagi Dzikiewicz, Stefanii Lipskiej, Zofii Pociłowskiej, Stefanii Siekluckiej i Joanny Szydłowskiej.

To właśnie tam, w Ravensbrück, Zofia Pociłowska podjęła pierwsze próby rzeźbiarskie. Jak wspomina, małych rzeźb: orzełków, medalików, krzyżyków, kupidyn-



✓
Portret Wojciechy Buraczyńskiej-Zeiske, Ravensbrück 1944

ków, zwierzątek wykonała całe mnóstwo, obdarowując nimi nie tylko współwięźniarki, ale także polskich jeńców ze stalagu II A. Namalowała także kilka portrecików swoich koleżanek (np. Wojciechy Buraczyńskiej-Zeiske).

Do Ravensbrück trafiły też znane malarki: Jadwiga Pietkiewicz, Maja Berezowska i Maria Hiszpańska, które również znalazły azyl w kunszcie.

„Widok piękna, choćby w najmniejszej formie, uwalniał od psychozy lagrowej, od narastającego w nas szaleństwa, że poza szpetotą i nędzą obozu nie istnieje już nic” – wspomina była więźniarka profesor Urszula Wińska. Stwierdza także, że po

powrocie do kraju zwiedziła różne galerie sztuki, ale nic nie przemawiało do niej tak silnie jak obozowe rzeźby z trzonków szczoteczek czy rysunki na papierowych opakowaniach po szamponie wykonane przez utalentowane więźniarki.

Życie w obozie, traktowane przez więźniarki jako czas wielkiej próby, wyrobiło w Zofii Pociłowskiej szacunek dla autentycznych wartości ludzkich. Stała się silniejsza moralnie i fizycznie, odporniejsza na trudy i cierpienia. Ravensbrück był dla niej szkołą hartu ducha i ciała.

15 maja 1945 r., wraz z Janiną Starczewską i jej mamą Heleną, Zofia Pociłowska powróciła z obozu do Warszawy. Zapisła się na Wydział Rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1946 r. poślubiła Piotra Kana. W czasie studiów urodziła cztery córki: Elżbietę, Karinę, Aleksandrę i Agnieszkę, w związku z czym była zmuszona na jakiś czas przerwać naukę. Studia ukończyła w czerwcu 1954 r. Do chwili obecnej uprawia rzeźbę kameralną, pisze wiersze. W życiu codziennym kieruje się przykazaniem „Abyście się wzajemnie miłowali”, głęboko wierząc, że jego realizacja pozwoli uchronić świat od wojen i niesprawiedliwości.

Barbara Oratowska



12

T. 3671

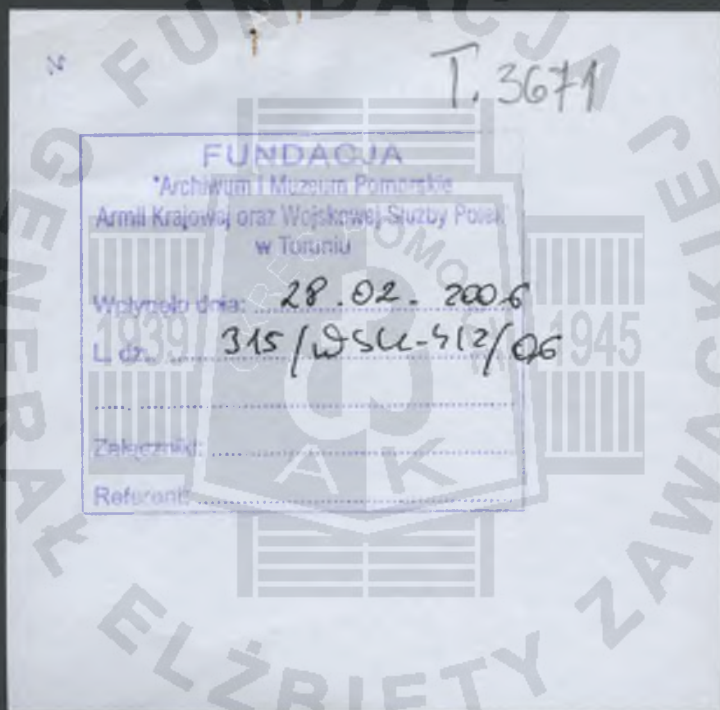
FUNDACJA
*Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polak
w Toruniu

Wzłynęło dnia: 28.02.2006

L. dz. 315/WSSL-412/06

Załącznik:

Referent:



Przysięgi H. Szczykowskiej i J. Podmygetto

11/6

Zofia Pociłowska

Towarzystwo Miłośników Historii
KOMISJA HISTORII KOBIEC
W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ
Rynek Starego Miasta 29/31
00-272 WARSZAWA
tel. 831-63-14

Więźniarka polityczna Ravensbrück

Nr 7925

Polka zamieszkała w Warszawie

„Chodzimy nad piekłem

oglądając kwiaty”

Issa 1767-1872

Od stycznia 1940 roku należałam do konspiracyjnej organizacji Ruchu Oporu jako kolporterka prasy podziemnej. Początkowo tylko na terenie Warszawy, ale po pewnym czasie powierzono mi dostarczanie prasy do kilku miast wschodniej Polski. Podróże były połączone z ryzykiem, ponieważ w pociągach przewożono żywność, a Niemcy często przeprowadzali brutalne rewizje. Kilkakrotnie znajdowałam się w niebezpiecznych sytuacjach, które jednak kończyły się szczęśliwie. Teraz patrzę na nie jak na interesujące przygody.

Była bardzo ostra zima 1941 roku. Od wielu godzin czekałam na spóźniony pociąg. Kiedy wreszcie przyjechał, wszyscy rzucili się do wejść. Stałam bezradna, zdając sobie sprawę, że nie mam żadnych szans dostać się do wagonu. Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Spojrzałam – przede mną stał starszy oficer niemiecki i o coś pytał. Przerazona – nie rozumiałam i nie odpowiadałam. Dopiero po chwili zorientowałam się, że pyta mnie, dokąd jadę – wymieniłam

4/7

nazwę mojej stacji. Wtedy wziął mnie po prostu za rękę i poprowadził do wagonu dla Niemców. Kiedy szłam obok niego ze swoją walizką, wydawało mi się, że słyszę jak głośno bije moje serce. Wchodząc do pociągu, wziął ode mnie walizkę, postawił ją na półce. Weszliśmy do pustego przedziału. Usiadł, coś do mnie mówił, ja nie odpowiadałam. Zajął się więc spokojnie czytaniem gazety. Kilka razy przechodzili niemieccy wojskowi i patrzyli na mnie ze zdziwieniem – pytali go o coś – a gdy odpowiadał, szli dalej. Kiedy pociąg zatrzymał się na mojej stacji, podał mi „mój bagaż”, uśmiechając się, a ja cicho po polsku powiedziałam „dziękuję”. Dłuższą chwilę stałam jeszcze na peronie, nie wiedząc - czy to co było – wydarzyło się naprawdę. Rozglądałam się, czy ktoś nie podchodzi, żeby mnie aresztować... ale nic się nie stało. Sądzę, że to wydarzenie utrwaliło we mnie przekonanie, że skutki ryzykownych działań zawsze są nieprzewidywalne, a strach można opanować.

Druga historia wydarzyła się w poczekalni dworcowej. Czekałam na swój pociąg i nagle – rewizja! Kiedy otwierałam swoją walizkę w głowie miałam pełną pustkę. Ale żołnierz karabinem podrzucił kilkakrotnie leżące na wierzchu ubrania i ... kazał mi zamknąć walizkę! Obok siedział młody chłopak, który wcale nie miał bagażu. Jego stuknął tylko po ramieniu i poszedł dalej.

Dlaczego? Może już był znudzony swoją służbą? A ten młody chłopak był partyzantem i miał przy sobie broń! Kto czy co decyduje o naszym losie?

To pozorne szczęście trwało krótko. Ostrzeżono mnie, że jestem w gestapo na liście osób podejrzanych. Przez dwa miesiące ukrywałam się w Warszawie, nie

przyjeżdżając do domu w Ursusie, gdzie mieszkałam z rodzicami. 19 marca 1941 roku – były to imieniny mojej mamy – przyjechałam do domu na kilka godzin. Niestety wieczorem byli już po mnie trzej gestapowcy. Przeprowadzono rewizję, ale w mieszkaniu nic nie znaleziono. Krótkie i bardzo bolesne było pożegnanie z rodzicami. Ojca mojego już nigdy nie zobaczyłam – zmarł w tym samym roku.

Tj

V.

Aresztowana przez gestapo lubelskie zostałam przewieziona do więzienia „Na Zamku” w Lublinie. Przesłuchania odbywały się w innym budynku – obecnie mieści się tam Muzeum „Pod Zegarem”.

Było to szczególnie ponure miejsce. Więźniów osadzano w piwnicy, w jednoosobowych, okratowanych klatkach. Nocami z góry słycać było przeraźliwe krzyki torturowanych. Nie pamiętam kiedy – chyba po dwóch dobach wzięto mnie „na górę”. Podczas przesłuchania bito grubą gumową pałką, przeważnie w głowę. Od razu traciłam przytomność. A z pokoju wciąż dochodziły przerażające krzyki. Nie wiem jak to wytrzymałam, ale w końcu odstawiono mnie do więzienia.

Trafiłam do dużej celi, gdzie było ^{około} może 30 osób. Młode dziewczęta i kobiety z ^{Holoka} Lublina oraz okolic, wyłącznie więźniarki polityczne. W tych trudnych warunkach byłyśmy dla siebie bardzo życzliwe, pomagałyśmy sobie wzajemnie, nawiązywały się przyjaźnie. Dzięki pomocy polskiej dozorczyńi więziennej był tam zorganizowany kontakt ze światem zewnętrznym, z rodzinami. Ze wzruszeniem wspominam, że któregoś dnia załatwiono mi szczególne

„widzenie” z moją Mamą. Z okna naszej celi widać było zbocze wzgórza przed Zamkiem. Któraś z koleżanek zawołała mnie do okna – spojrzałam – w dali naprzeciw stała Mama – patrzyłam zza kraty, płakałam – na pewno ona również – zapamiętałam to na zawsze.

W lecie panowała w więzieniu epidemia tyfusu plamistego. Bardzo wiele kobiet chorowało. Dla chorych wydzielono jedną celę, ale nie stosowano żadnego leczenia. Ja zachorowałam prawdopodobnie jako ostatnia, bo zapamiętałam, że byłam sama w tej celi, miałam jakieś koszarne wizje, zdawało mi się, że umieram, ale wyzdrowiałam.

Od połowy września szykowano transport do obozu - wyjechałyśmy 23 września. Przejazd z Lublina do Warszawy (150 km) trwał całą noc. Na bocznej linii kolejowej na obrzeżach Warszawy dołączono wagony z więźniarkami z Pawiaka. W ten sposób był to duży – ponad 400-osobowy transport „politycznych” Polek. Cała podróż trwała 2 doby. Na terenie Rzeszy wyrzucono nas z pociągu, przeładowano do ciężarówek, które dowiozły nas w pobliże obozu. Z trudem wyskakiwałyśmy z wozów, popychane kolbami, w tłum uzbrojonych SS-manek i SS-manów, trzymających zgrają rozwścieczonych, rzucających się na nas wilczurów. Wśród wrzasków „Loss! Loss! – Szybciej!” – uformowane w piątki, pędzone przez psy i ludzi, ruszyliśmy dalej – w ciemność. To był pierwszy przystanek piekła Ravensbrück.

Drugim była łaźnia. Przed wejściem musiałyśmy zdjąć wszystkie nasze ubrania.

I znowu – scena jak z obrazu Boscha: w kłębach pary tłum nagich kobiet – ciała młode i stare, piękne i brzydkie, a wszystkie bezradne, przerażone, popychane.

Przy wyjściu z łaźni, każda z nas dostała obozowe ubrania: ^{wa:}bieliznę, ^esukienki i kurtki w szaro-granatowe pasy, na kurtkach naszyte czerwone trójkąty z literą P, chustki na głowę i drewniane trepy. Potem zostałyśmy wpisane na listę, każdej przyczepiono do rękawa kolejny numer. Ja otrzymałam numer 7925.

Odtąd już wszystkie - bez imion, bez nazwisk - byłyśmy tylko numerami.

Późną nocą dotarliśmy półżywe do bloków, w których miałyśmy istnieć, pracować i umierać. Jak wyglądały te bloki? Drewniane, dwudzielne baraki. Po każdej stronie A i B – dwie izby: w pierwszej jadalnia: stoły, ławy, szafki, w drugiej – sypialnia: szeregi trójpiętrowych prycz, sienniki z trocin, koce i twarde poduszki. W tych szafkach w jadalni miałyśmy naczynia do jedzenia, kubki i szczotki do zębów. Obie części baraku dzieliło wąskie pomieszczenie, czyli łaźienka – szereg umywalek (oczywiście z zimną wodą) oraz ubikacje.

Pobudka o piątej rano (latem o czwartej), mycie, śniadanie, kubek cieczy nazywanej kawą, przydział chleba, który miał wystarczyć również na kolację.

Następnie apel – rano przed blokiem, wieczorem na ulicy „Lagrowej”. Za regulamin i dyscyplinę na bloku odpowiedzialne były funkcyjne więźniarki – blokowa i 2 sztubowe. Najczęściej funkcje te spełniały Niemki, które odbywały kary za przestępstwa kryminalne. Ich stosunek do Polek był przeważnie wrogi; wolno im było bezkarnie znęcać się nad nami.

u/111

Transport lubelski umieszczono w bloku nr 15 – naprzeciw w 13^{cie} ulokowano H.
transport z Warszawy. Były to tzw. „Sondertransporty”.

Obóz Ravensbrück, otoczony wysokim murem oraz drutami kolczastymi pod wysokim napięciem, zajmował duży teren. Za murem dookoła ciemne tło lasu.

Wewnątrz równe szeregi zielonych, drewnianych baraków. Od bramy wejściowej i budynków komendantury w głąb prowadziła szeroka „ulica

Lagrowa”. Po obu jej stronach – rabaty kwiatów – czerwonokwitnąca szalwia.

Stale oglądałyśmy te kwiaty będące dla nas jakby symbolem „naszego piekła”.

Ogłoszono 4-tygodniową „kwarantannę”, ale nie pamiętam, na czym właściwie miała ona polegać. Starszym kobietom pozwolono pozostać na bloku, gdzie

miały robić na drutach ciepłe skarpety dla żołnierzy niemieckich. Młode bardzo wcześniej przydzielono do różnych „komand” roboczych. Pracy było dużo,

zarówno w obozie, jak i poza nim. Wewnątrz obozu: prace porządkowe,

drogowe, remontowe, transportowe, ^{w obozowych} jak również w zakładach przemysłowych

np. szwalni itp. Te, ^{Wizniarki} które ^{jace} znały niemiecki - mogły być zatrudnione przy różnych pracach w kuchni, w kantynie, ^{lub} w rewirze, czyli w szpitalu obozowym.

Stanowiska te dawały możliwość pomagania innym więźniarkom. Polki dobrze

^{mówiące po niemiecku} znające niemiecki mogły nawet otrzymać funkcje blokowych lub sztabowych.

Dawało to pewne szanse ochraniających pozostałych koleżanek. Poza obozem

pracowałyśmy w małych zakładach przemysłowych, np. w fabryce pinezek, w

wytwórni trepów drewnianych lub w SS-mańskich gospodarstwach rolnych przy

sadzeniu i wykopywaniu ziemniaków, pieleniu buraków, czasem w ogrodzie.

Szczególnie te prace dawały możliwość „dożywiania” głodujących koleżanek przynoszonymi w ukryciu warzywami lub owocami. Brałam udział kolejno we wszystkich tych pracach, jednak najtrudniejsze były ~~prace~~ przy budowie dróg. Na drugim brzegu jeziora, znajdującego się tuż przed wejściem do obozu, stały wille SS-manów w pięknych ogródkach. Przed nimi miałyśmy wybudować brukowaną drogę do miasteczka. Z ogromnych stosów zebranych kamieni trzeba było wybierać odpowiedni materiał, ładować do pełna na taczki, wciągać na górę i jak najstaranniej układać jezdnię. To było naprawdę ponad siły dwóch wygłodzonych kobiet. Skutecznie jednak „dodawały ^{energii} siły” pejczy dozorujących SS-manek. Kiedyś nocą wezwano naszą kolumnę do pracy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, pośrodku wśród zgromadzonych kamieni paliło się ognisko. Teren dookoła otoczony był ścisłą eskortą uzbrojonych SS-manów - znowu z tymi wściekłymi wilczurami – prawdziwie obraz piekła! Tym razem nadano wyjątkowo ostre tempo pracy. A ujadające psy i rzemienne pejczy na plecach wydobywały z nas nadludzkie siły. Było to „komando” złożone z kilkudziesięciu kobiet. Nie wszystkie wytrzymały do końca, ale nie widziałam, co się z nimi stało. Ja jednak wytrzymałam do końca, choć nie wiem jakim cudem. W 2001 roku na spotkaniu organizacji „One by One” w Berlinie, dokąd zostałam zaproszona jako „świadek tamtych czasów”, odszukał mnie młody człowiek, Niemiec, pytając czy nie znam którejś z tych kobiet, które budowały drogę obok obozu. On urodził się po wojnie w jednym z tych właśnie domków. Chciał mi powiedzieć, że mieszkańcy wybudowali tablicę upamiętniającą

4/13

budowę tej drogi przez więźniarki z obozu. Powiedziałam, że to właśnie ja byłam jedną z nich. Był naprawdę wzruszony.

Stosunkowo lepsze były prace na trzy zmiany w warsztatach obozowych, np. przy szyciu kozuchów lub ochraniaczy na buty dla żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego. W tych pracach również brałam udział i właśnie tam zaczęłam rzeźbić, chroniona przez koleżanki, które za mnie wyrabiały normę. Apele, zwłaszcza wieczorne, były coraz dłuższe, trwały nieraz wiele godzin, sprawdzano bowiem wszystkie komanda wracające z pracy, a czasem wyznaczano kary za jakieś przewinienia. W lichych sukienkach, w drewniakach, choć ciasno ustawione obok siebie, zimą przemarzałyśmy do szpiku kości. Na rannych apelach wyczytywano numery kobiet, które wysyłano do fabryk amunicji.

W późniejszym okresie były także inne „selekcje”. Starsze lub kalekie kobiety wybierano z szeregów i wysyłano do tzw. Jugendlagru, gdzie jakoby miały być leczone. Naturalnie, po prostu je tam likwidowano – rozstrzeliwano lub truto specjalnymi środkami, a zwłoki palono w krematoriach. To dotyczyło nie tylko Polek, ale kobiet wszystkich narodowości. Do Jugendlagru wysyłano właśnie Żydówki i Cyganki, które wcześniej przywieziono z Oświęcimia.

Rzeczywistość, o której piszę – ponura i okrutna – miała także drugą stronę. Przynajmniej Polki były bardzo solidarne i pomagały sobie wzajemnie. Te, które pracowały w kuchni dla SS-manów lub na zewnątrz i miały dostęp do jakiejś żywności, starały się ją przemycić. Ta forma pomocy

4/14

była bardzo powszechna i trwała do końca, gdyż w miarę upływu czasu racje żywnościowe stawały się coraz mniejsze, np. pod koniec dostawaliśmy tylko 100 gram chleba na cały dzień, pół litra zupy z brukwi lub jarmużu. Zdarzały się wówczas przypadki śmierci głodowej.

Oprócz walki o przetrwanie biologiczne równie istotne – może bardziej – było pragnienie przetrwania duchowego, uratowania własnego człowieczeństwa. Byliśmy przecież traktowane wyłącznie jak „siła robocza”, „obiekty” pogardy przeznaczone na zagładę. Na przekór temu wszystkiemu podejmowałyśmy różnorodne działania kulturalne i oświatowe. Większość z nas pochodziła z Ruchu Oporu. Było wiele nauczycielek, a także profesorek, kilka artystek. Zaczęłyśmy od opowiadania przeczytanych kiedyś książek, recytowania zapamiętanych wierszy, wspominałyśmy podróże i ciekawe przeżycia. Potem były wykłady z literatury, historii Polski, geografii, a nawet astronomii. Wspominam ze wzruszeniem, jak na długich apelach wieczornych starsza pani profesor opowiadała nam o gwiazdozbiorach, o układach słonecznych – nie czułam wtedy przejmującego zimna, zapomniałam, gdzie jestem. Harcerki, które przybrały nazwę „Drużyny Murów”, miały również swoje spotkania. W niedziele na „15-ce” modliłyśmy się, śpiewałyśmy (zapamiętałam szczególnie piękny śpiew Zofii Rysiówny, później bardzo znanej aktorki). Recytowałyśmy wiersze - Norwida, Słowackiego, Mickiewicza, Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego, a często własne utwory. Poetek obozowych było coraz więcej,

niektóre naprawdę dobre. Ale najpiękniejsze były wiersze Grażyny

Chrostowskiej z Lublina:

„to tylko zbyt wcześnie dotknęło mnie cierpienie

że cała się spaliłam na martwy jasny popiół”.

A było to pisane kilka dni przed jej egzekucją.

Zbiór jej wierszy wydano wiele lat po wojnie, a jedna z lubelskich szkół przyjęła ją za patronkę. Wiersze innych poetek, religijne, patriotyczne, miały dużą

wartość dokumentalną, gdyż bardzo autentycznie oddawały ~~rzeczywistość~~ obozową i nasze przeżycia. ^{W obozie}

Było z nami kilka znanych już artystek, np. sławna przed wojną Maja

Berezowska, która malowała portrety koleżanek, świetna malarka Maria ^{L L}

Hiszpańska, zwana przez nas „Myszka”. Jej bardzo liczne wstrząsające rysunki przedstawiały bardzo sugestywnie brutalne, ale prawdziwe sceny obozowe.

Rysowałyśmy na skrawkach papieru, które zdobywały koleżanki pracujące w komendanturze. Każda kartka była bardzo cenna. Kilka koleżanek haftowało lub

rzeźbiło drobne przedmioty, i do nich właśnie ja należałam. Tworzywem były

trzonki szczotek do zębów, bo w takim materiale można było łatwo rzeźbić

zwykłym scyzorykiem. To była moja główna twórczość obozowa. Każda z

koleżanek chciała mieć taką pamiątkę – rzeźbiłam różne medalioniki, krzyżyki,

amorki, a nawet malutkie porteciki. Wiele z tych drobiazgów udało się

koleżankom przemyścić w obozie i przywieźć do domu. Jeszcze do niedawna

dostawałam listy z podziękowaniami i fotografiami tych drobnych przedmiotów, już oprawionych w srebro lub nawet złoto. To, co tam robiłam, zaważyło na moim losie. Po wojnie nie wróciłam już na polonistykę, tylko studiowałam rzeźbę na ASP.

Jednak najważniejsza w obozie była regularna działalność oświatowa. Kilkanaście nauczycielek oraz profesorek uniwersyteckich zorganizowało kilkuletni program gimnazjalny. A kiedy po Powstaniu Warszawskim do Ravensbrück przywiezione zostały dzieci zorganizowano dla nich kurs szkoły podstawowej. To wydaje się wprost nieprawdopodobne, było jednak prawdziwe.

Na początku 1942 roku dowiedziałyśmy się, dlaczego nasze oba transporty były nazwane „Sondertransportami”. Po prostu wszystkie przyjechałyśmy do obozu z wyrokami śmierci. 18 kwietnia odbyła się pierwsza egzekucja, 14 kobiet, wśród nich była właśnie Grażyna Chrostowska wraz z siostrą Połą, a także moja przyjaciółka Anita Matyjanka. Na rannym apelu wyczytano numery kobiet, które miały nie iść do pracy. Jako powód podano przeniesienie do innego obozu. Wiedziałyśmy jednak, że to nieprawda. Ukryłyśmy się z Anitą na strychu ponad trzecim piętrem naszych prycz. Anita napisała list pożegnalny do rodziny. Dała mi, aby go wysłać nielegalną drogą. Anita opowiadała mi o swoim dzieciństwie, o tym jak wcześnie straciła matkę. Chciała być nauczycielką, mieć dużo własnych dzieci. Była bardzo spokojna. Modliłyśmy się, śpiewałyśmy, mówiłam jej ulubione wiersze. Dla mnie to było bardzo trudne przeżycie, ponieważ

pierwszy raz uczestniczyłam tak osobiście w odejściu bliskiej osoby. Po apelu wieczornym wyszły wszystkie wyczytane w otoczeniu obozowych policjantek. Najpierw w małej grupie, potem w coraz większej, szłyśmy w pewnej odległości za nimi. Przed bramą one zaczęły śpiewać polski hymn. Podchwyciłyśmy śpiew. Wtedy policjantki rzuciły się, żeby nas rozpędzić. Szalała z pejcem jedna z najgorszych ausierek. Zemdlałam, a kobiety wyciągnęły mnie z tłumu i w ten sposób uratowały. Strzałów nie słyszałam. Egzekucje odbywały się w ślepej uliczce za komendanturą. Obecnie „droga śmierci” widoczna jest od razu przy wejściu na teren muzeum Ravensbrück, a w 1993 roku na murze umieszczona została tablica z brązu z informacją o Polkach więzionych i zamordowanych w obozie. (Formę plastyczną zaprojektowała i wyrzeźbiła moja córka Aleksandra Kann).

Nie pamiętam, ile egzekucji odbyło się za murami obozu. Ostatnia miała miejsce w styczniu 1945 roku. W sumie rozstrzelano 169 Polek.

Egzekucje nie była jedyną formą likwidowania polskich więźniarek. Ly
 Szczególnym okrucieństwem były przeprowadzane na Polkach pseudomedyczne operacje nóg. Stosowano eksperymenty chirurgiczne dwojakiego rodzaju: mięśniowo-kostne oraz tzw. zakaźne, polegające na wprowadzaniu do organizmu różnorodnych bakterii ropotwórczych (~~chorobotwórczych?~~). Nogi gipsowano aż do pachwin i tak pozostawiano bez leczenia, prowadzono obserwacje. Rany goiły się bardzo długo. Po jakimś czasie pobytu w szpitalu

operowane odsyłano na blok i pozostawiano bez pomocy, skazując na potworne cierpienia. Oczywiście kobiety operowane bardzo cierpiały, leżąc w rewirze (szpitalu), a potem na bloku. Pięć więźniarek zmarło zaraz po operacji, niektóre operowano kilkakrotnie, kilka zaś po operacji zostało rozstrzelanych.

Operacje zainicjował i przeprowadzał dr Gerbhardt, który w procesie norymberskim został skazany na śmierć.

Na początku marca 1943 roku wezwano grupę 5 dziewcząt, do której również ja należałam. Zaprowadzono nas do rewiru i przez wiele godzin trwały różnorodne badania, takie jak pobieranie krwi, dawano nam jakieś zastrzyki. W pewnej chwili weszła pielęgniarka z sali szpitalnej zawiadamiając, że nie ma żadnych wolnych łóżek dla nowoprzybyłych. W tym samym czasie wprowadzono pięć młodych Niemek z czarnymi winklami (eø oznaczało prostytutki). Miały bardzo duże zmiany skórne na twarzach, jedna nawet była bez nosa, i zatrzymano je do badań. A nam kazano wracać do bloku i zgłosić się do rewiru następnego dnia po porannym apelu – byłyśmy przerażone. Dla mnie było jasne, że te Niemki przeznaczone są do operacji łącznie z naszą grupą. Zdecydowałam się od razu, że nie poddam się tej operacji, bez względu na to jakiegokolwiek miałyby to przynieść konsekwencje.

z wytypowanymi

T P

Poszłam do jednej z mojej grupy pytając, czy podejmie taką samą decyzję.

Powiedziała, że tak. I wszystkie pozostałe zgodziły się również. Wtedy poszłam do koleżanek już operowanych i powiedziałam im o tej sytuacji i naszej decyzji.

Narady trwały całą noc, zdania były początkowo podzielone, w końcu jednak

wszystkie operowane zgodziły się na podjęcie wspólnego protestu. Napisały pismo do komendanta obozu z żądaniem wyjaśnienia sprawy przeprowadzanych operacji. Wszystkie to pismo podpisałyśmy. Rano po apelu ustawiliśmy się w grupie, dziewczęta operowane o kulach lub na wózku, a na końcu my – pięć zdrowych. Był to rzeczywiście wstrząsający pochód. O dziwo, wpuszczono nas do komendantury i koleżanka biegle mówiąca po niemiecku zreferowała całą sprawę. Komendantka Langefeld (zastępująca wówczas głównego komendanta) starała się nas uspokajać, że nic nam się nie stanie, że operacje nie są groźne i wreszcie kazała nam wracać do bloku. Przez kilka dni nasz blok był zaciemniony, ograniczone jedzenie, ale innych kar nie zastosowano. Przez pewien czas panował względny spokój, a nasza piątka nie została już więcej wezwana. Była to pierwsza jawna manifestacja przeciwko temu, co działo się w obozie. W sierpniu doszło jednak znowu do bardzo dramatycznych wydarzeń. Dziesięć Polek, w tym kilka uprzednio operowanych, zostało wezwanych do rewiru. Wszystkie odmówiły. Wobec tego blok został otoczony przez obozowe policjantki, które starały się wyłapać wezwane kobiety. Udało się im złapać tylko jedną. Wtedy pozostałe też wystąpiły z szeregu. I wszystkie zostały zabrane przez policjantów do bunkra. Z bunkra pięć dziewcząt zwolniono, a pięć zatrzymano na operacje. Broniły się rozpaczliwie, ale SS-mani zakneblowali im usta, a lekarze w tym czasie przeprowadzali operacje – byli w brudnych ubraniach i w brudnym, ciemnym bunkrze. Nieprzytomne przewieziono do rewiru. Po tym wypadku SS-mani twierdzili, że wszystkie

więźniarki z bloku 15-tego powinny być właściwie rozstrzelane. Tak się jednak nie stało. Za karę zostałyśmy znowu zamknięte w bloku bez światła i bez posiłków przez kilka dni.

Operowane kobiety nazywano „królikami” i ta nazwa do dziś funkcjonuje.

Sytuacja tej grupy dziewcząt była wyjątkowo dramatyczna. Nie tylko cierpiały fizycznie, ale także psychicznie. Były bowiem przekonane, że SS-mani nie będą chcieli zostawić żywych dowodów swoich zbrodni, czyli pod koniec wojny zostaną zgładzone.

Wiadomości o tym, co działo się w obozie powinny być dostać się na zewnątrz.

Ale jak? Niekiedy przekazywano listy przez koleżanki pracujące poza obozem (przez kontakty z wykonującymi roboty przymusowe) – było to jednak bardzo niebezpieczne.

W legalnej, ocenzurowanej korespondencji miałyśmy prawo pisać wyłącznie na blankietach obozowych, oczywiście po niemiecku. Po pewnym czasie niektóre koleżanki opracowały technikę pisania na tych blankietach atramentem sympatycznym tzn. moczem lub sokiem z cebuli. I to się nawet udawało.

Wymyśliły to Wojtka Buraczyńska i Bogna Bąbińska z Warszawy, a także z Lublina Wanda Wojtasik, Nina Iwańska i inne. Listy dochodziły, ale też niewiele można było zmieścić tych wiadomości, były to trudne i niebezpieczne.

Na początku 1943 roku dostałam się do kolumny roboczej, która jeździła do miejscowości Neusterlitz, gdzie w magazynach żywnościowych pracowali jeńcy

polscy z oflagu nr 2. Nasza kolumna składała się z 10 młodych dziewcząt i drużynowej. Jeździliśmy co tydzień, pod nadzorem jednej tylko ausierki oraz kierowcy samochodu ciężarowego. Przewożyliśmy żywność z magazynów w Neusterlitz do kantyny oficerskiej. Na rozległym placu, w pewnej odległości od magazynów, stał drewniany ustęp, z którego wolno nam było korzystać.

Wpadłam na pomysł, aby wykorzystać taką okazję i nawiązać kontakt z jeńcami. Poprosiłam o skorzystanie z wychodka i na skrawku papieru, który miałam przy sobie, napisałam kilka słów z prośbą o kontakt, podpisując się imieniem i nazwiskiem, podając swój adres. Wetknęłam go w szczelinę ściany. Pod koniec pracy, poszłam po raz drugi. Czekala tam już na mnie odpowiedź. Chłopcy polscy zgadzają się, dziękują za to, że się odezwaliśmy i podejmują propozycję stałego kontaktu. Kiedy przyjechaliśmy w następny poniedziałek, obok starego budynku toalety stał nowy, wybudowany specjalnie dla nas. Jeńcy szybko nawiązali bardzo sympatyczny kontakt z ausierką i kierowcą, co bardzo pomogło – bo łagodniej nas traktowali. Po wejściu do nowego ustępu zobaczyłam, że pod klapą klozetu jest wbudowana skrytka, a w bocznej ścianie okrągły nieduży otwór w kierunku starego budynku, w którym również był taki sam otwór. Zobaczyłam, że tam ktoś jest i mówi do mnie. Chłopak przedstawił się jako ^{representant} przedstawiciel całej grupy i powiedział, że czekają na wszelkie wiadomości i listy od nas. Prosił, aby uznać ten kontakt za stały i żebym zajrzała do skrytki, bo tam jest dla nas paczuszka. Wzięłam ją, zostawiając listy od nas. Kontakt nasz miał podwójne znaczenie. Pierwsze to była pomoc rzeczowa, o

której wiedziała cała grupa łącznie z drużynową i naszym „dozorem”. Drugie jednak - ^{działanie} ~~konspiracyjne~~ było tajne. Tylko ja przenosiłam listy w obie strony. O nawiązaniu tego kontaktu zawiadomiłam operowane koleżanki, które od tego czasu przygotowywały dokładne listy egzekucji, operacji łącznie z nazwiskami i datami, czyli całą historię obozu. Ja również pisałam za każdym razem list do ^{10792 uwięź} ~~chłopców~~, w którym także kreśliłam jakie są nasze potrzeby. Dołączałam mnóstwo listów do rodzin, wiersze, rysunki, a także drobne prezenty ^{komunikat} ~~dla nich~~ i do wysłania. My zaś dostawałyśmy naprawdę poważną pomoc w postaci: lekarstw, książek, informacji o sytuacji w kraju i na frontach, pismo polskich jeńców wojennych „Dzwon” itp. Ja osobiście otrzymałam świetny scyzoryk, naprawione okulary, dodatkowy materiał do rzeźb (płytki z plastiku używanego w lotnictwie). Bardzo szczególnym i ważnym dla nas darem było kilkakrotne przekazanie komunikantów, o które prosiły głęboko wierzące koleżanki. Były one w zalakowanej puszcze metalowej, zakopywanej w ziemi obok ubikacji. A zdarzył się taki szczególny, wzruszający wypadek, że jedna z kobiet, która przyjęła komunię, następnego dnia była rozstrzelana. To niezwykle, że mogła przyjąć sakrament!

Zdołałam napisać w obozie sztukę sceniczną pod tytułem „Noc wigilijna”. Nasi chłopcy zawiadomili nas o rozpisany przez Czerwony Krzyż w Genewie konkursie dla jeńców wojennych. Zapropowowali, że pod nazwiskiem któregoś z nich mogą przesłać utwór. Dostałyśmy potem wiadomość, że moja sztuka pod nazwiskiem jednego z podchorążych dostała pierwszą nagrodę. Sztukę tę

wyreżyserowałam także na ostatnie święta w 1944 roku. Była choinka, *pod nią*
wyrzeźbiona przez *nie* szopka. Bardzo wzruszająca uroczystość. Tekst samej
sztuki zagał, szkoda.

Dowiedziałyśmy się od przywiezionych do obozu Francuzek, że radio BBC
nadawało informacje o operacjach doświadczalnych w Ravensbrück łącznie z
nazwiskami operowanych osób. Dzięki temu z Czerwonego Krzyża zaczęły
przychodzić paczki na niektóre *wymienianych* z *nazwisk*. Nasz kontakt z Neusterlitz trwał co
najmniej do końca 1944 r.

Pewnego dnia zostałam w bloku, aby wykonać prezenty dla naszych przyjaciół,
jedna z operowanych koleżanek – na tyle podleczone, że mogła już dobrze
chodzić - zaofiarowała się *(mnie zastąpić)* w kolumnie. Kiedy stałyśmy na
wieczornym apelu za blokami powstał jakiś zamęt. Okazało się, że
komendantowi, który robił obchód, wydały się podejrzane więźniarki wracające
z Neusterlitz. Jedną z nich zatrzymał, inne zaczęły uciekać. Wobec tego
policjantki wyłapały całą kolumnę. Kiedy dotarła do mnie ta wiadomość,
postarałam się bardzo szybko przekazać to, co miałam przy sobie innym
koleżankom, podbiegłam do swojej kolumny i wymieniłam koleżankę, która nie
miała prawa się w niej znajdować. Kolumna w „legalnym składzie” dostała karę
6 tygodni zamknięcia w ciemnym bunkrze o głodzie. Dostawałyśmy kromkę
chleba dziennie, co trzeci dzień – talerz zupy. Tak się zakończyły nasze

wyprawy do Neusterlitz i moja działalność. Chcę jeszcze *wrócić do* *opisać* *jednego*
wzruszające wspomnienie *z tamtego okresu* **Ausiérka powiedziała pewnego razu, że mamy**

Jc.

wykonać pracę w magazynie (do którego nigdy dotąd nie miałyśmy wstępu). Nasi dozorczy oddalili się. Weszliśmy do środka, nagle otoczyli nas chłopcy. Zdumienie, radość, chaotyczne pytania i odpowiedzi, ogromne wzruszenie, uściski. Jakby spotkała się jedna wielka kochająca się rodzina! Była to zupełnie „nieobozowa” rzeczywistość! Wracaliśmy wieczorem na odkrytej platformie. Najpierw nieśmiało, po cichu, potem coraz głośniej, śpiewaliśmy polskie piosenki: wojskowe, harcerskie - różne. A nasi dozorczy nie interweniowali. Dopiero gdy dojeżdżaliśmy do miasteczka, kazali nam się wyciszyć, abyśmy przestały. A więc byli to jednak przyzwoici ludzie, którzy bali się tylko, że mogą ponieść konsekwencje za swoją tolerancję wobec nas.

Pod koniec obozu przerażająco wzrosła liczba więźniarek. Przybyły kobiety z Powstania Warszawskiego: młodsiutki dziewczyny, matki z dziećmi, kobiety ciężarne i sporo małych dzieci bez rodziców. Były też stare i schorowane kobiety. Nowoprzybyłe umieszczono najpierw w ogromnym namiocie, bez posłań, bez racji żywnościowych. Jako grupa długoletnich więźniarek, pomagałyśmy im w miarę możliwości, przynosząc jedzenie. Namiot w końcu został rozmontowany, a wszystkie kobiety znalazły się w tzw. nowym obozie (który ^{wcześniej} ~~kiedyś~~ zbudowałyśmy). ^{w końcu} My także musiałyśmy się ^{tam} przenieść i spałyśmy wtedy już po trzy – chore i zdrowe - na jednej pryczy. Szerzyły się epidemie tyfusu, biegunki, gruźlicy. Umierałyśmy z głodu i wycieńczenia. Racje żywnościowe były znikome. Któregoś dnia kilka kobiet niosących zupełną

brukwi w kotle upuściło go, bo jedna z nich przewróciła się i zawartość kotła wylądowała na ziemi. Zagłodzone więźniarki rzuciły się by zebrać resztki zupy.

Wiosna 1945. Zbliżał się koniec wojny. W obozie panował chaos nie do opisania. Szwedzki Czerwony Krzyż zabierał grupki więźniarek, przeważnie ^{ek} Polki. Nie zgłosiłam się, ponieważ chciałam pozostać z operowanymi koleżankami, którym nie wolno było wyjechać. Do bloków zaczęto przynosić ubrania cywilne ze stosu ubrań zdartych z nas przy wejściu do obozu.

Oczywiście przypadkowe. Odzież oznaczona była na plecach białymi krzyżami namalowanymi olejną farbą. Rzucono nam też buty. W obozie zawsze gubiłam drewniaki za duże na moje nogi! Często koleżanki śmiały się z tego powodu. Nagle zobaczyłam swoje własne. Te, w których zostałam aresztowana, a potem przywieziona do obozu! Były to bardzo ładne i wygodne czarne półbuciki, własnoręcznie zrobione przez mojego ojca jesienią 1939 roku, gdy nie miałam w czym chodzić. Ojciec nie był szewcem, ale umiał zrobić wszystko. To było piękne. Mogłam wrócić do domu w swoich własnych butach!

28 kwietnia 1945 – byłam w jednej z ostatnich grup wychodzących z obozu kobiet. Był tam wózek dla niechodzących koleżanek. Ciągnęłyśmy go na zmianę. Położyłyśmy na nim także nasze pakunki, w których były m.in. pamiątki z obozu. Przed wyjściem przez bramę obejrzałam się na obóz – przestrzenie między opuszczonymi barakami były puste. Podobnie pusta ulica Lagrowa – nie kwitła jeszcze czerwona szalwia! Przed każdym blokiem leżały

stosy nagich, martwych ciał, zebranych ze wszystkich bloków. Przeznaczone były do krematorium. Skąd tyle się ich wzięło? To był straszny widok.

Dowiedziałam się od mojej przyjaciółki Kamy Janowicz, która pracowała jako pielęgniarka w obozowym rewirze, że wraz z Hanią Burdówną i dr Janiną

Węgierską, polską lekarką, muszą pozostać w obozie z 1200 ciężkochorych ^{trai}

^{tanii} kobiet, które nie mogły być ewakuowane. Myślałam o nich ze strachem i

podziwem. Dopiero potem już w Polsce dowiedziałam się, że obóz był

zaminowany. Żołnierze sowieccy po przejęciu obozu musieli rozminować cały

teren. Nikt już nie zamknął za nami bramy. Maszerowałyśmy z chorymi nie

wiedząc, co nas czeka. Za bramą obozu szłyśmy zwartą kolumną pod wodzą SS-

manów, jeszcze uzbrojonych. Poganiali nas wciąż, nie szczędząc razów. To oni

się teraz śpieszyli – byle dalej od obozu. Byłyśmy wycieńczone i głodne, ale

pod groźbą śmierci szłyśmy. Jednak, ^MJeśli któraś kobieta upadła, Niemcy

natychmiast ją zabijali. Za nami szli więźniowie z męskiej, mniej licznej części

obozu. Wydaje mi się, że byli w pasiakach.

Drugiego lub trzeciego dnia marszu, po drugiej stronie drogi zobaczyłyśmy

sporą kolumnę niemieckich żołnierzy. Popatrzyłyśmy na siebie. Ci „dumni

zwycięzcy” wyglądali tak ^{same} nędznie jak my – szli w poszarpanych mundurach, o

twarzach ponurych i głodnych. Nie cieszył mnie ten widok, ale myślałam z

przerażeniem: jakie szaleństwo i jacy szaleńcy pchają ludzi do wzajemnego

mordowania się. Losy każdej wojny zawsze są niewiadome. Nie ma

zwycięzców ani zwyciężonych, tylko po każdej stronie tysiące tysięcy, miliony

ofiar. Gdy tak ^{li} szliśmy nic nie zapowiadało bombardowań. Nagle usłyszeliśmy huk nadlatujących samolotów, opodal spadły bomby. Rzuciliśmy się wszyscy, więźniowie i żołnierze, do ucieczki. Dobiegliśmy do pobliskiego lasu. Nie mogłam nigdzie dojrzeć wózka, który tylko co ciągnęłam. Niestety nie spotkałam już w drodze więcej ~~tam~~ ^{ami} ~~tych~~ ^{ami} swych koleżanek, wraz z nimi utraciłam wszystkie swoje rzeczy – trochę oszczędzonej żywności, zapasowy sweter, a przede wszystkim cenną teczkę ze wszystkimi pamiątkami – wiersze, ^{ami} rysunki, ^{ami} notatki, ^{ami} drobne rzeźbki, ^{ami} które chciałam zawieźć do rodziny. ~~Ucieszyłam się, że~~ ^{ucieszyłam} ~~Wkrótce~~ ^u, na szczęście, znalazła się moja przyjaciółka ze swoją matką, ^{ami} bo ^{ami} przecież zobowiązałam się nimi opiekować.

SS-mani znowu uformowali kolumnę i popędzili nas dalej. Doszliśmy do lasu. Okazało się, że był to teren wojskowy. W głębi lasu znajdowała się olbrzymia betonowa płyta, a na niej kilka myśliwskich samolotów. Pod ziemią była zaś

fabryka samolotów. Usłyszaliśmy ^{ami} zbliżające się samoloty alianckie, a ^{ami} niemieckie myśliwce ^{ami} szykowały się do lotu. Z rozpaczliwym wysiłkiem biegliśmy przed samolotami, które już startowały, aż wreszcie cudem wydostałyśmy się poza teren lotniska. Grupy więźniarek bardzo się rozproszyły, a SS-mani gdzieś zupełnie zniknęli.

Potem ^{ami} szliśmy już wolniej – ^{ami} przez ^{ami} zbombardowane ^{ami} miasteczka i opuszczone domy. Ludzi ² nie ⁴ widać ³ było ¹ wcale. Zatrzymałyśmy się w jakimś opuszczonym niedawno domostwie. ~~W~~ ^{ami} kuchni ^{ami} przygotowany był posiłek, a w ^{ami} oborze ^{ami} muczka niewydojona krowa. Pobiegłam z wiadrem do obory. Krowa

aliants

1234

Hg LW

stała spokojnie – miałyśmy całe wiadro mleka i chleb. Ruszyliśmy dalej, utrzymując kierunek nadany przez Niemców. Oni chcieli dostać się do strefy amerykańskiej, by uniknąć spotkania znienawidzonych Rosjan.

W nocy z 2 na 3 maja dowlokliśmy się do położonego tuż przy drodze dużego gospodarstwa. Część kobiet weszła do domu. Ja i moja przyjaciółka zagrzebałyśmy się w stogu pachnącego siana. O wschodzie słońca zobaczyłam, że las na horyzoncie porusza się - to żołnierze jechali na małych koniach.

Prawdopodobnie byli to Kazachowie, przejechali jednak i znikli.

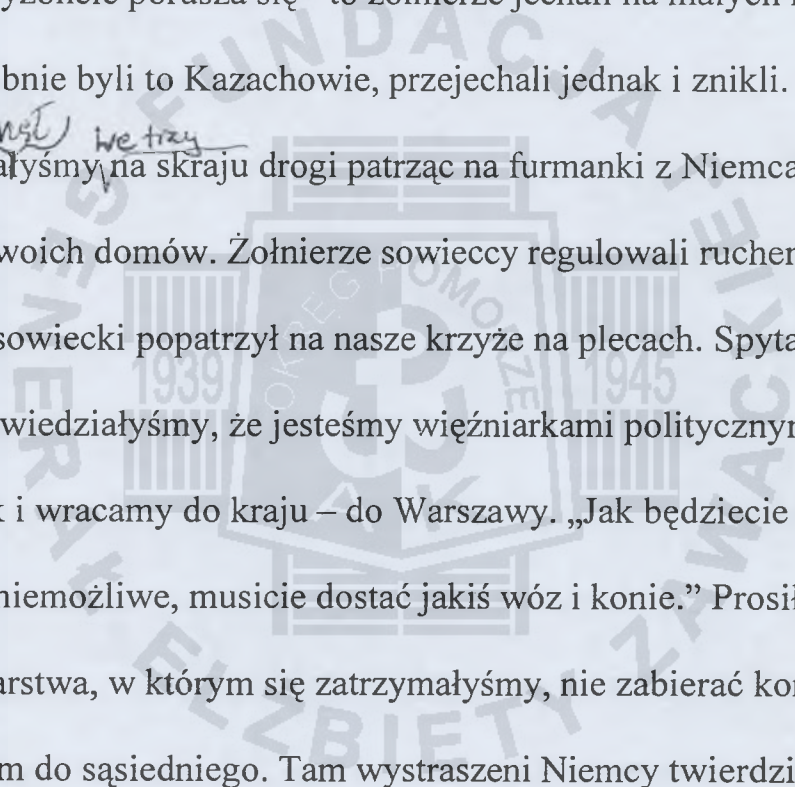
Nazajutrz stałyśmy ^{na skraju drogi} patrząc na furmanki z Niemcami, którzy wracali do swoich domów. Żołnierze sowieccy regulowali ruchem na drodze.

Jakiś oficer sowiecki popatrzył na nasze krzyże na plecach. Spytał, skąd jesteśmy. Powiedziałyśmy, że jesteśmy więźniarkami politycznymi z obozu Ravensbrück i wracamy do kraju – do Warszawy. „Jak będziecie wracać?”

Pieszko. „To niemożliwe, musicie dostać jakiś wóz i konie.” Prosiłam, żeby z tego gospodarstwa, w którym się zatrzymałyśmy, nie zabierać koni. Kazał nam iść wraz z nim do sąsiedniego. Tam wystraszeni Niemcy twierdzili, że wszystko już im odebrano. Ale stojący za stodołą robotnicy przymusowi pokazali, gdzie są ukryte konie. Były dwa piękne: jeden kary, drugi gniady. Oficer szukał dla nas także wozu. Była tylko bryczka, nawet bardzo ładna - gospodyni

lamentowała. Kazał załadować siano, obrok i sprzęt. Spytał tylko, czy umiemy powozić. Skłamałam, że umiem zajmować się końmi. Dopiero teraz

pojechałyśmy właściwą drogą na Wschód. Kilka dni tak jechałyśmy,



zatrzymując się na noclegi. Napotkani ludzie doradzali, jak się opiekować końmi. W drodze kilkakrotnie chciano nam te konie odebrać, ale sowieccy wojskowi początkowo dawali się przebłagać. Któregoś dnia naprzeciw nas jechała z wielkim pośpiechem fort poczta wojskowa. Zobaczyli nas i zabrali nam nasze konie w zamian dając zmęczone i chore z biegunką. Szczęśliwie z pomocą ofiarowali się dwaj polscy więźniowie. Obiecali wyleczyć konie za możliwość jazdy z nami. Rzeczywiście doprowadzili zwierzęta do normalnego stanu w ciągu dwóch dni. Mężczyźni ci ostrzegli nas, że w tych okolicach są dokonywane gwałty na powracających do kraju kobietach. Dopuszczają się ich sowieccy żołnierze. Wkrótce przeżyliśmy bardzo dramatyczną noc. Do gospodarstwa, w którym zatrzymało się wielu powracających ludzi, wdarł się oddział pijanych żołnierzy. W pokoju na górze ^{gdzie byliśmy tylko my} wszystkie trzy słyszałyśmy co się dzieje w sąsiednich pokojach. Był to po prostu koszmar. Nagle do naszego pokoju wpadł bardzo młody oficer. Rzuciłam się do niego z błaganiem, by nas obronił przed swoimi żołnierzami. Gorączkowo opowiadałam mu, że wracamy z pięcioletniej niewoli w obozie, że Janka jest tak ciężko chora... To dziwne, ale wysłuchał mnie. Wyrzucił żołnierzy, którzy się właśnie do nas dobijali. Został z nami w pokoju, nie pozwalając wejść nikomu. Pytał o Warszawę (chciałby ją zobaczyć). Wreszcie usnął, a ja siedziałam tuż przy nim. Rano pożegnał się z nami przyjaźnie. Myślę, że naprawdę stał się wyjątkowy cud. I była to już ostatnia noc – najstraszniejsza – znowu darowane życie.

Dojechaliśmy wreszcie do Krzyża, do polskiej granicy. Za drobną sumę
sprzedałam wóz i konie, bo stąd już odchodził właśnie pociąg towarowy.
Załadowałyśmy się i dojechaliśmy bez zatrzymań ^{prosto do Warszawy, ~~zachodniej~~} aż do Warszawy Zachodniej.

Do Ursusa było już niedaleko. ¹⁵ 15 maja - moje imieniny. Około południa ^{głównie} zapukałam do drzwi mojego mieszkania. Przestraszyłam się, gdy za drzwiami
zobaczyłam obcą kobietę. Ale zaraz pokazała się mama i jej siostra. Nie
dostrzegłam ojca. Kiedy się przywitałyśmy, spytałam o niego, zapadło
milczenie. Płakałyśmy wszystkie. Umarł w rok po moim aresztowaniu.
Moja przyjaciółka była w takim stanie, że musiałam ją tego samego dnia
zaprowadzić do szpitala. Okazało się, że faktycznie miała tyfus. (Na szczęście
wyzdrowiała po kilku tygodniach.) Tego pierwszego dnia poszłyśmy z mamą na
grób ojca. Chciałam go przywitać, a musiałam pożegnać. A przecież gdy mnie
zabierano, mówiłam „Wiem na pewno, że wrócę”, „Tak, wierzę” –
odpowiedział wtedy.

Nazajutrz rano poszłam do Warszawy (z Ursusa to tylko 10 km). Pierwsze
wrażenie było porażające. Ponad zwałami gruzów, niewiele ocalałych
budynków, większość zrujnowanych, bez dachów i okien. Jedno wielkie
cmentarzysko. Umarłe miasto – czy może ono wrócić do życia? Zobaczyłam
jednak, że miasto żyje. Na odgruzowanych ulicach pełno było ludzi, przed
zburzonymi kamienicami na Marszałkowskiej pobudowano mnóstwo

4/31

sklepeków, jakieś sklecone budki pełne różnych towarów. Kupców i kupujących. Warsztaty wszelkich specjalności.

W Alejach Jerozolimskich (arteria Wschód- Zachód) pełno furmanek jadących w obie strony, załadowanych sprzętem i żywnością, a na Wiśle jeden tylko pontonowy most. Słyszało się głośnie wołania: „Na Pragę jedziemy” lub „Kto z nami na Wolę?”. Pomyślałam: szkoda, że nie mam swoich darowanych koni. Jeździłabym jako przewoźniczka. Tak wyglądało życie Warszawy zależnej od ludzi, którzy do niej wracali i od ich pracy.

Wiedziałam, że moje miejsce jest na studiach. Uczelnie właśnie zaczęły swoją działalność. Nie wróciłam jednak na polonistykę, lecz zdałam na rzeźbę do Akademii Sztuk Pięknych i wybór ten okazał się słuszny. Praca ta sprawiała mi wielką radość, byłam też doceniana, a nawet wyróżniana od pierwszego roku studiów. Wprawdzie w sztuce polskiej obowiązywał już socrealizm całkowicie podporządkowany ideologii marksistowskiej, Jednak profesorami uczelni byli świetni przedwojenni artyści. Na rzeźbie był prof. Breyer, a na malarstwie prof. Cybis. Stworzyli oni pewną możliwość swobodnego rozwoju zależnego od indywidualnych zdolności. Atrakcją dla studentów była zlecana niektórym z nas rekonstrukcja rzeźb z architektury miejskiej Warszawy, w oparciu o zachowaną dokumentację fotograficzną. Brałam w tych pracach duży udział. Barokowe postacie amorków trafiały na odbudowywane attyki warszawskich pałaców. Na początku studiów mieszkałam w domu akademickim, w którym znajdowało się

także kilka koleżanek z obozu. Przeważnie były na innych kierunkach, głównie medycznych.

Na drugim roku studiów wyszłam za mąż za kolegę rzeźbiarza i już w następnym roku musiałam opuścić akademik, gdyż urodziła mi się córeczka.

Jednak na studiach nie miałam żadnych zaległości ani kłopotów. Dyplom (model pomnika Beethovena 3-metrowej wysokości) zrobiłam wprawdzie z jednorocznym opóźnieniem, ale wcześniej zdążyłam urodzić jeszcze trzy córki.

Pierwsze lata rodzinnego życia były dla nas bardzo trudne, ponieważ nie mieliśmy mieszkania. Wielokrotnie wynajmowaliśmy jakieś pomieszczenia u znajomych, ale na krótko. Dopiero w roku 1950 dostaliśmy przydział mieszkania. W zburzonej i odbudowywanej Warszawie uzyskanie mieszkania było niezmiernie trudne. I tak otrzymaliśmy je stosunkowo szybko, bo władze uznały, że byłym więźniom obozów koncentracyjnych należy się pierwszeństwo. Na listach oczekujących dawano jeden punkt za jeden miesiąc obozu, więc miałam tych punktów wiele. Mieszkanie było dla nas pewną stabilizacją. Mąż mój pracował w Państwowym Biurze Odbudowy Stolicy, ja zaś zarabiałam wykonując rzeźby rekonstrukcyjne lub małe rzeźbki do Cepelii.

Brałam też udział we wszystkich możliwych wystawach w kraju, a nawet zagranicą. Najważniejsza z nich odbyła się w 1956 r. (czas przełomu). Była to wystawa Sztuki Młodych w Arsenale. Wystawa ta wypromowała kilku wielkich artystów, np. Jana Lebensteina. Dostawałam nagrody, czasem sprzedawałam jakąś rzeźbę. Mama pomagała mi w domu, dziewczynki chodziły już do

przedszkola, najstarsza do szkoły. Czułam się szczęśliwa. Po pewnym czasie otrzymaliśmy od Ministerstwa Kultury i Sztuki przydział pracowni rzeźbiarskiej dla nas dwojga. To było wielkie osiągnięcie, dawało możliwość wykonywania większych prac w każdej technice. Kilka prac, które tam wykonałam mogłam odlać w żeliwie, m.in. jedną dużą rzeźbę zainspirowaną powstaniem węgierskim 1956 r. Po pewnym czasie zainstalowaliśmy także piec do wypalania ceramiki. W tej pracowni powstała moja pierwsza rzeźba do polskiej części Muzeum w Ravensbrück. Obecnie znajduje się ona w części ogólnej muzeum. Ciała polska została przeniesiona i dla niej wykonałam nową rzeźbę w latach 90.

Po 13 latach małżeństwa rozwiedliśmy się. Mąż zatrzymał pracownię, ja zostałam z dziećmi bez miejsca do pracy. Musiałam sama utrzymać rodzinę. Podejmowałam wówczas szereg różnorodnych prac plastycznych i za wszelką cenę chciałam pozostać w zawodzie, pracować twórczo, a nie odtwórczo. W trudnych warunkach udało mi się zrealizować pomnik Pawiaka. Brałam udział w wystawach np. „Rzeźba dla Warszawy”. Dostałam III Nagrodę i praca była przeznaczona do realizacji, ale nigdy do niej nie doszło. W tym samym czasie dostałam od Ministerstwa Kultury i Sztuki nową pracownię, co przyniosło bardzo korzystną zmianę. Pracuję w niej do dziś.

Był to okres mojej dużej aktywności twórczej. Wykonałam siedem pomników na terenie Polski. Dostałam także nagrodę w Sofii. Brałam udział w II Biennale Dantesco w Ravennie. W 1966 byłam komisarzem Międzynarodowej Wystawy

Kobiet w Nancy (Francja). Kilka lat także poświęciłam pracy przy konserwacji zabytków, zarówno w Warszawie: na Starym Mieście, w Wilanowie, w Łazienkach, na cmentarzu żydowskim, ^{jak i} również w innych miastach: Kazimierzu nad Wisłą, w Pińczowie, Bejskach itp. W czasie wakacji brałam udział w plenerach rzeźbiarskich (prace w kamieniu, drewnie oraz ceramice). W latach 70. wzięłam udział w dużej realizacji parkowej dla miasta Wałbrzycha. W ciągu kilku lat wykonałam kilkanaście dużych prac w ceramice na temat legend polskich pt. „Starodzieje”, a rzeźba pt. „Słoneczko” (o średnicy 3 m) to chyba jedyna w Polsce rzeźba tej wielkości w polowie ceramicznej. W stanie wojennym większość artystów (ja także) zawiesiło wszelką publiczną działalność. Tworzyłam wtedy kameralne rzeźby w swojej pracowni, a także jak w okresie II wojny znowu przewoziłam prasę podziemną, małe gazetki „Solidarności”. Przechowywałam także sprzęt drukarski, książki wydawane w podziemiu. Czułam się bezpieczna, bo wcześniej nie byłam aktywnie zaangażowana w działalność opozycyjną. Raz tylko w 1968 roku włączyłam się do manifestacji studenckiej, ale udało mi się uciec przed „pałkarzami”. Wywiozłam wtedy do Pragi odezwę studencką do młodzieży. Okupacja sowiecka bolała bardziej niż bieda, a w pewnym sensie była gorsza od hitlerowskiej, bo rozkładała społeczeństwo od wewnątrz, zaś okrucieństwo katów w polskich mundurach nie ustępowało okrucieństwu faszystów. Wiedzieliśmy o egzekucjach na akowcach, o Katyniu, łagrach itd. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa.

Bardzo szczególnie układał się mój kontakt z Niemcami. W latach 50. pojechaliśmy dużą grupą na zbiorowym paszporcie na otwarcie polskiej części muzeum w Ravensbrück. Wprawdzie dzieci niemieckie witały nas kwiatami, jednak było to bardzo sztuczne, a kontakt z obozem, gdzie wyczuwało się jeszcze nie tak dawną naszą obecność, był smutny. Opiekunem i tłumaczem w naszej grupie był młody Niemiec, dobrze mówiący po polsku - jak się okazało, pochodził ze Śląska. Po ceremonii otwarcia naszej celi w muzeum podszedł do mnie i rozpoczął rozmowę. Podobała mu się moja rzeźba ~~(nie był to bowiem socrealizm)~~. Byliśmy także w Berlinie. Przy oprowadzaniu nas po mieście częściej ze mną rozmawiał, wreszcie zwrócił się z niespodziewaną propozycją, abym została jeszcze kilka dni w Berlinie. „Spróbuję załatwić zaproszenie od berlińskiego związku artystów.” Była jeszcze jedna tłumaczka w naszej grupie, bardzo miła Irena pracująca w biurze turystycznym. Powiedziała, że przedłuży swoją funkcję tłumaczki, jeśli ja zostanę. Trochę z lękiem, ale zgodziłam się. Chciałam zobaczyć coś więcej niż obóz. Dziwne, udało się to załatwić. Koleżanki odjechały, ja zostałam na koszt berlińskich artystów. Chodziliśmy w trójkę, zobaczyłam Wschodni Berlin, bogate w zbiory muzea (nasze były zrujnowane). Pojechaliśmy nawet zobaczyć gotycką katedrę w Naumburgu. Czas minął niepostrzeżenie. Do Warszawy wracałam samolotem – mój pierwszy lot. (Było pogodne popołudnie. Byłam zachwycona.)

W 1978 roku zostałam zaproszona w sześciuosobowej grupie kobiet (z różnych obozów) przez stowarzyszenie Maximilian Kolbe-Werk we Freiburgu. Założył je Alfons Erb, a celem było pojednanie w bezpośrednich kontaktach Polaków z Niemcami. Byłyśmy w pierwszej grupie zaproszonych, akcja ta jednak rozwinęła się na szeroką skalę i uczestniczyło w niej bardzo dużo byłych więźniarek i byłych więźniów. ^{aliąpił} Niemcy organizowali ~~te~~ ^{nasze} ~~pobyty~~ w bardzo atrakcyjny sposób. Dwie lub trzy osoby mieszkały u jednej rodziny, w różnych domach. Każdego dnia całą grupę zabierano samochodami na wycieczki po kraju. Zwiedzałyśmy interesujące znane miasta, różne malownicze miejscowości, przejechałyśmy przez góry Schwartzwald, widziałyśmy wodospad na Renie. Był nawet kilkudniowy wyjazd do południowej Francji: Strasburg, Autun, Taize. Intencją gospodarzy było zapewnienie nam ^{emnych} przyjaznych warunków, pokazanie własnego kraju w czasie pokoju. Kontakty nasze były serdeczne, nawiązywały się trwałe przyjaźnie. Były długie rozmowy na temat naszych przeżyć obozowych; oni opowiadali o swoich wojennych losach. Zacierała się między nami przepaść stworzona przez hitlerowską okupację i terror. Byli to zwykli ludzie, którzy równie jak my nienawidzili przemocy i w przeszłości też ponosili ofiary. Ci Niemcy byli w większości nauczycielami, korzystali z kontaktu z nami, aby ich uczniowie zrozumieli bezsens faszystowskiego totalitaryzmu. Do Polski przyjeżdżali młodzi Niemcy (przeważnie nauczyciele) i wtedy moja pracownia stawała się miejscem ich zakwaterowania. A kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny, wówczas

Niemcy z Kolbe-Werk zorganizowali wydatną pomoc dla byłych więźniów. Elżbieta Erb i dr Gisela Armbruster przyjeżdżały samochodem ciężarowym wyładowanym odzieżą i żywnością docierając do różnych miejsc Polski. Także niektóre szpitale zaopatrywano w leki i sprzęt. W Katowicach cały drogi sprzęt okulistyczny był ufundowany przez tę organizację. Ja i kilka koleżanek byłyśmy bardzo mocno zaprzyjaźnione z dr Giselą. Zapraszała po kilka osób prywatnie do swojego domu. Była to wyjątkowo mądra i ofiarna kobieta. Kiedy przyjeżdżała do Polski była już ciężko chora, zmarła w 1990 roku. W rocznicę jej śmierci spotykamy się na mszach w jej intencji. Kontakty korespondencyjne, wtedy nawiązane trwają do chwili obecnej.

W maju 1993 roku w 50 rocznicę powstania w getcie miałam w Muzeum Pawiaka indywidualną wystawę rzeźbiarską „Pamięci Żydów polskich czasu zagłady”. W tym samym roku w listopadzie przeszłam operację okulistyczną (źle wykonaną) i straciłam widzenie w prawym oku, a w 1994 zostało uratowane oko lewe i mogłam dalej rzeźbić.

W 1999 roku wzięłam udział w międzywyznaniowych spotkaniach oświęcimskich zorganizowanych przez Zakon Pokoju. Wstrząsające było dla mnie spotkanie w bloku śmierci, gdzie każdy mówił o swoich przeżyciach. Szczególnie wyznania młodej Niemki, która opowiadała o swoim dziadku, którego bardzo kochała i przypadkowo dowiedziała się, że w czasie wojny brał udział w zagładzie Żydów. Ja również po raz pierwszy publicznie opowiadałam o swoich doświadczeniach w obozie Ravensbrück. Poznałam wielu bardzo

interesujących ludzi. Liturgie w różnych obrzędach, kaddisz w ruinach krematorium, rozmowy. Oświęcim przeżyłam bardzo mocno, dotknęłam sprawy holocaustu chyba głębiej niż gdy sama byłam w obozie. Temat ten więc nadal realizuję w moich rzeźbach.

W 2001 roku zostałam zaproszona do Berlina na spotkanie zorganizowane przez organizację „One by One”. Były tam ciągłe dyskusje o stosunku Żydów do Polski i odwrotnie, zorganizowano także warsztat dyskusyjny polsko-niemiecko-żydowski. Zwiedzaliśmy Muzeum Holocaustu, gdzie symbolem holocaustu był kanał śmierci, z którego wysypywały się żelazne maski – niezwykle prosty i wstrząsający przekaz plastyczny.

Rok później uczestniczyłam w seminarium zorganizowanym w Lublinie przez Fundację „Polsko-Niemieckie Pojednanie”. Inicjatorem była strona niemiecka. Równolegle odbył się plener malarski „Przeciw przemocy”, w którym brała udział moja córka Aleksandra.

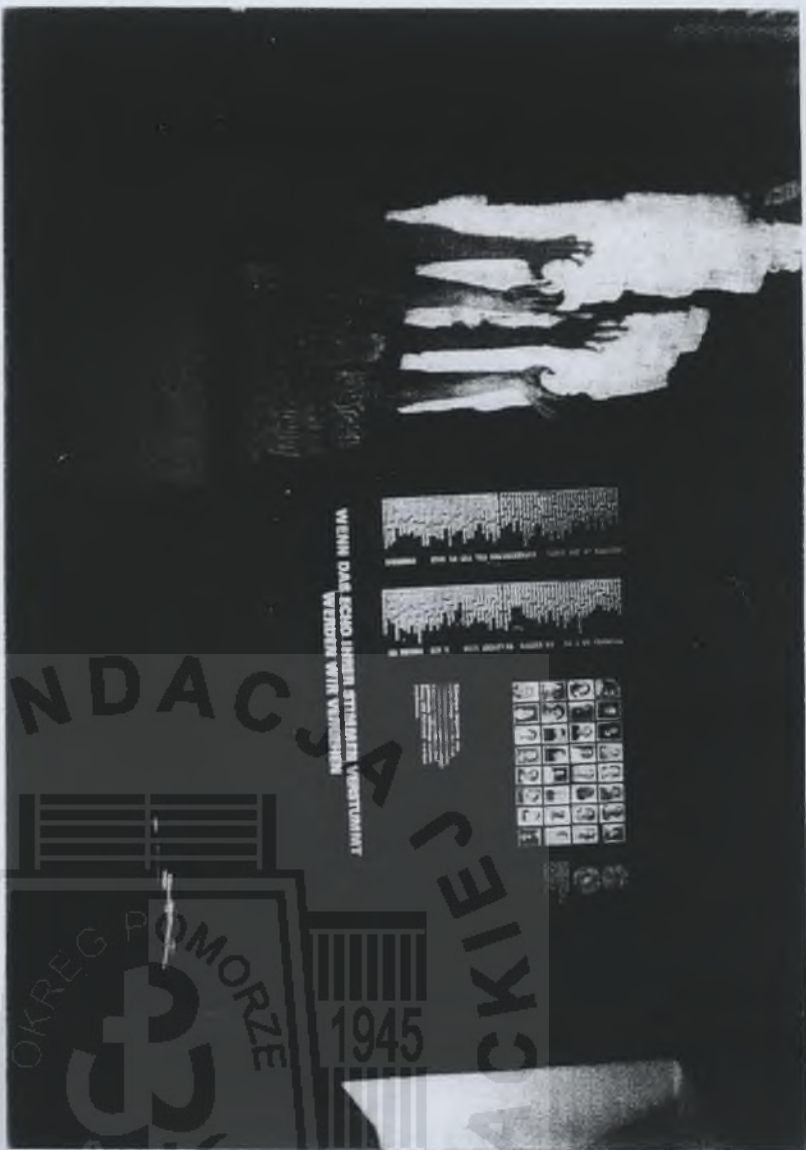
„Bez względu na to, czy wrócimy, czy też nie, historia Polek w Ravensbrück i w ogóle historia obozu, możliwie najbardziej dokładna i obszerna, musi się wydostać na światło dzienne, prawdziwa i niezmienną” pisałam w liście do polskich jeńców w Neusterlitz, 9 października 1943 roku. Ten cytat umieszczono na obwolucie książki dokumentalnej pod tytułem „Aby świat się dowiedział” (Wyd. Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1980). Jak już wcześniej pisałam, oprócz prywatnych listów do jeńców i do naszych rodzin,

oprócz obozowych wierszy i drobnych pamiątek, przewoziłam ważne dokumenty opracowane przez operowane koleżanki. Część dokumentów jeńcy zabezpieczyli w szklanym pojemniku i zakopali. Pojemnik ten został odnaleziony na początku lat 70. Cała ta nielegalna korespondencja została opisana w relacjach byłych jeńców, przeważnie lekarzy. Dlaczego piszę o tym teraz, na końcu mojej relacji? Minęło 60 lat – to prawie całe życie. Mimo, że w okresie wojny i obozu zawsze byłam aktywna - na miarę moich możliwości - po powrocie do kraju odcięłam się od tamtej rzeczywistości, nie brałam udziału w żadnych wspomnieniach i relacjach. Teraz więc, kiedy na skutek nowych przeżyć - lub może ^z poczucia obowiązku - zdecydowałam się pisać o Ravensbrück, widzę, że nie może to być historia „dokładna i obszerna”, jak wyobrażałam sobie wtedy, ponieważ jest ona dziś zatarta przez odległość czasu i luki ^w pamięci. Jednak najtrudniejszym ^e do pokonania był głęboki opór ^H psychiczny przed koniecznością powrotu do tamtych strasznych i skomplikowanych zdarzeń, które wypełniły pięć lat mojego życia. Jednak to moje własne, prawdziwe życie jest drobną częścią wspólnej historii „czasu zagłady” – powinno więc być jednym ze znaków przekazu. Jeśli te wspomnienia pomogą w zbliżeniu między ludźmi różnych kultur i wyznań, przekraczaniu granic, które nas dzielą, to wydaje mi się, że warto było wrócić do tej całej bolesnej przeszłości.

Wreszcie – nie wolno nam nie dostrzegać aktualnej rzeczywistości świata, w którym żyjemy i wciąż

„Chodzimy nad piekłem
oglądając kwiaty”





Formule w Celi Polskiej w Muzeum w Ravensbrücku. Hefelbe
 Fabrice z nazwiskami zatrzymanych Polek.
 Około Żofia Pościńska przy formułce.

Formule został zaprezentowany i wykonany w sprawie
 przez przedsiębiorcę Żofia Pościńska od 1941+ więcej -
 niemieckiej polityczny obszar koncentracyjnego Ravens-
 brücku nr. 4925. W podstatę która jest organizację
 Pomnika wyprzedzony jest napis w języku nie-
 mieckim. Napisała go po polsku Żofia Pościńska
 w okresie po ewakuacji Polek w 1943 r.



"Jestemmy wstrząsnęli emi
 iestemmy krzykiem powietrza
 reklamie kowalymu
 miedziernym wiebo
 - jak beton
 i oraz Eadlen
 znak teno
 - nie strze.

II/6



Tomuś w Biblii Polskiej w Muzeum w Ravensbrücku. W górze
 Kalendarz z nazwiskami rozstrzelanych Polaków.
 Obok Yofia Pościowska przy Tomuśku.



„Jestemmy myżem ziemi
iestemmy kszyciem porzeka
reklamie kow dawym
mzdzieramy nieko
— jak beton
i coas żarden
wzndem tego
— wie xstrze.



"Zeta" muzeum Ravensbrück



"Pieta" przed montażem w celi pobliżej obozu.

"Zeta" została zaprojektowana i wykonana (żelazo i metal) przez rzeźbiarkę Zofię Positowską więźniarkę polityczną obozu Ravensbrück nr. 4925 od 1941 r. Stała przedmiotem której rzeźby znajduje się napis wstępujący przez Zofię Positowską: "Jeśli echo ich głosów zamilknie - zginieemy". W 1959 r. "Pieta" stała w celi pobliżej na pierwszej wystawie zorganizowanej w obozowym muzeum Ravensbrück. Obecnie znajduje się w cześci oddzielnej muzeum.



„Pieta” przed montażem w celi polskiej obozu,



"Beta" muzeum Rawenstrieck

FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 28.02.2006
L. dz. 315/2006-412/06

Załączniki:
Referent:



Przysłęty H. Szewczykowski i J. Podmyślisz

Zofia Pociłowska

Więźniarka polityczna Ravensbrück

Nr 7925

Polka zamieszkała w Warszawie

Towarzystwo Miłośników Historii
KOMISJA HISTORII KOBIEC
W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ
Rynek Starego Miasta 29/31
00-272 WARSZAWA
tel. 831-63-14

Ksena

„Chodzimy nad piekłem

oglądając kwiaty”

Issa 1767-1872

Od stycznia 1940 roku należałam do konspiracyjnej organizacji Ruchu Oporu jako kolporterka prasy podziemnej. Początkowo tylko na terenie Warszawy, ale po pewnym czasie powierzono mi dostarczanie prasy do kilku miast wschodniej Polski. Podróże były połączone z ryzykiem, ponieważ w pociągach przewożono żywność, a Niemcy często przeprowadzali brutalne rewizje. Kilkakrotnie znajdowałam się w niebezpiecznych sytuacjach, które jednak kończyły się szczęśliwie. Teraz patrzę na nie jak na interesujące przygody.

Była bardzo ostra zima 1941 roku. Od wielu godzin czekałam na spóźniony pociąg. Kiedy wreszcie przyjechał, wszyscy rzucili się do wejść. Stałam bezradna, zdając sobie sprawę, że nie mam żadnych szans dostać się do wagonu. Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Spojrzałam – przede mną stał starszy oficer niemiecki i o coś pytał. Przerazona – nie rozumiałam i nie odpowiadałam. Dopiero po chwili zorientowałam się, że pyta mnie, dokąd jadę – wymieniłam

nazwę mojej stacji. Wtedy wziął mnie po prostu za rękę i poprowadził do wagonu dla Niemców. Kiedy szłam obok niego ze swoją walizką, wydawało mi się, że słyszę jak głośno bije moje serce. Wchodząc do pociągu, wziął ode mnie walizkę, postawił ją na półce. Weszliśmy do pustego przedziału. Usiadł, coś do mnie mówił, ja nie odpowiadałam. Zajął się więc spokojnie czytaniem gazety. Kilka razy przechodzili niemieccy wojskowi i patrzyli na mnie ze zdziwieniem – pytali go o coś – a gdy odpowiadał, szli dalej. Kiedy pociąg zatrzymał się na mojej stacji, podał mi „mój bagaż”, uśmiechając się, a ja cicho po polsku powiedziałam „dziękuję”. Dłuższą chwilę stałam jeszcze na peronie, nie wiedząc - czy to co było – wydarzyło się naprawdę. Rozglądałam się, czy ktoś nie podchodzi, żeby mnie aresztować... ale nic się nie stało. Sądzę, że to wydarzenie utrwaliło we mnie przekonanie, że skutki ryzykownych działań zawsze są nieprzewidywalne, a strach można opanować.

Druga historia wydarzyła się w poczekalni dworcowej. Czekałam na swój pociąg i nagle – rewizja! Kiedy otwierałam swoją walizkę w głowie miałam zupełną pustkę. Ale żołnierz karabinem podrzucił kilkakrotnie leżące na wierzchu ubrania i ... kazał mi zamknąć walizkę! Obok siedział młody chłopak, który wcale nie miał bagażu. Jego stuknął tylko po ramieniu i poszedł dalej.

Dlaczego? Może już był znudzony swoją służbą? A ten młody chłopak był partyzantem i miał przy sobie broń! Kto czy co decyduje o naszym losie?

To pozorne szczęście trwało krótko. Ostrzeżono mnie, że jestem w gestapo na liście osób podejrzanych. Przez dwa miesiące ukrywałam się w Warszawie, nie

przyjeżdżając do domu w Ursusie, gdzie mieszkałam z rodzicami. 19 marca 1941 roku – były to imieniny mojej mamy – przyjechałam do domu na kilka godzin. Niestety wieczorem byli już po mnie trzej gestapowcy. Przeprowadzono rewizję, ale w mieszkaniu nic nie znaleziono. Krótkie i bardzo bolesne było pożegnanie z rodzicami. Ojca mojego już nigdy nie zobaczyłam – zmarł w tym samym roku.

Aresztowana przez gestapo lubelskie zostałam przewieziona do więzienia „Na Zamku” w Lublinie. Przesłuchania odbywały się w innym budynku – obecnie mieści się tam Muzeum „Pod Zegarem”.

Było to szczególnie ponure miejsce. Więźniów osadzano w piwnicy, w jednoosobowych, okratowanych klatkach. Nocami z góry słyhać było przeraźliwe krzyki torturowanych. Nie pamiętam kiedy – chyba po dwóch dobach wzięto mnie „na górę”. Podczas przesłuchania bito grubą gumową pałką, przeważnie w głowę. Od razu traciłam przytomność. A z pokoju wciąż dochodziły przerażające krzyki. Nie wiem jak to wytrzymałam, ale w końcu odstawiono mnie do więzienia.

Trafiłam do dużej celi, gdzie było ^{około} może 30 osób. Młode dziewczęta i kobiety z ^{Holoka} Lublina oraz okolic, wyłącznie więźniarki polityczne. W tych trudnych warunkach byłyśmy dla siebie bardzo życzliwe, pomagałyśmy sobie wzajemnie, nawiązywały się przyjaźnie. Dzięki pomocy polskiej dozorczyńi więziennej był tam zorganizowany kontakt ze światem zewnętrznym, z rodzinami. Ze wzruszeniem wspominam, że któregoś dnia załatwiono mi szczególne

„widzenie” z moją Mamą. Z okna naszej celi widać było zbocze wzgórza przed Zamkiem. Któraś z koleżanek zawołała mnie do okna – spojrzałam – w dali naprzeciw stała Mama – patrzyłam zza kraty, płakałam – na pewno ona również – zapamiętałam to na zawsze.

W lecie panowała w więzieniu epidemia tyfusu plamistego. Bardzo wiele kobiet chorowało. Dla chorych wydzielono jedną celę, ale nie stosowano żadnego leczenia. Ja zachorowałam prawdopodobnie jako ostatnia, bo zapamiętałam, że byłam sama w tej celi, miałam jakieś koszarne wizje, zdawało mi się, że umieram, ale wyzdrowiałam.

Od połowy września szykowano transport do obozu - wyjechaliśmy 23 września. Przejazd z Lublina do Warszawy (150 km) trwał całą noc. Na bocznej linii kolejowej na obrzeżach Warszawy dołączono wagony z więźniarkami z Pawiaka. W ten sposób był to duży – ponad 400-osobowy transport „politycznych” Polek. Cała podróż trwała 2 doby. Na terenie Rzeszy wyrzucono nas z pociągu, przeładowano do ciężarówek, które dowiozły nas w pobliże obozu. Z trudem wyskakiwałyśmy z wozów, popychane kolbami, w tłum uzbrojonych SS-manek i SS-manów, trzymających zgraję rozwścieczonych, rzucających się na nas wilczurów. Wśród wrzasków „Loss! Loss! – Szybciej!” – uformowane w piątki, pędzone przez psy i ludzi, ruszyłyśmy dalej – w ciemność. To był pierwszy przystanek piekła Ravensbrück.

Drugim była łaźnia. Przed wejściem musiałyśmy zdjąć wszystkie nasze ubrania. I znowu – scena jak z obrazu Boscha: w kłębach pary tłum nagich kobiet – ciała młode i stare, piękne i brzydkie, a wszystkie bezradne, przerażone, popychane. Przy wyjściu z łaźni, każda z nas dostawała obozowe ubrania: bieliznę, sukienki i kurtki w szaro-granatowe pasy, na kurtkach naszyte czerwone trójkąty z literą P, chustki na głowę i drewniane trepy. Potem zostałyśmy wpisane na listę, każdej przyczepiono do rękawa kolejny numer. Ja otrzymałam numer 7925.

Odtąd już wszystkie - bez imion, bez nazwisk - byłyśmy tylko numerami.

Późną nocą dotarliśmy półżywe do bloków, w których miałyśmy istnieć, pracować i umierać. Jak wyglądały te bloki? Drewniane, dwudzielne baraki. Po każdej stronie A i B – dwie izby: w pierwszej jadalnia: stoły, ławy, szafki, w drugiej – sypialnia: szeregi trójpiętrowych prycz, sienniki z trocin, koce i twarde poduszki. W tych szafkach w jadalni miałyśmy naczynia do jedzenia, kubki i szczotki do zębów. Obie części baraku dzieliło wąskie pomieszczenie, czyli łaźienka – szereg umywalek (oczywiście z zimną wodą) oraz ubikacje.

Pobudka o piątej rano (latem o czwartej), mycie, śniadanie, kubek ciecicy nazywanej kawą, przydział chleba, który miał wystarczyć również na kolację.

Następnie apel – rano przed blokiem, wieczorem na ulicy „Lagrowej”. Za regulamin i dyscyplinę na bloku odpowiedzialne były funkcyjne więźniarki – blokowa i 2 sztabowe. Najczęściej funkcje te spełniały Niemki, które odbywały kary za przestępstwa kryminalne. Ich stosunek do Polek był przeważnie wrogi; wolno im było bezkarnie znęcać się nad nami.

Transport lubelski umieszczono w bloku nr 15 – naprzeciw w 13^{cie} ulokowano transport z Warszawy. Były to tzw. „Sondertransporty”.

Obóz Ravensbrück, otoczony wysokim murem oraz drutami kolczastymi pod wysokim napięciem, zajmował duży teren. Za murem dookoła ciemne tło lasu.

Wewnątrz równe szeregi zielonych, drewnianych baraków. Od bramy wejściowej i budynków komendantury w głąb prowadziła szeroka „ulica

Lagrowa”. Po obu jej stronach – rabaty kwiatów – czerwonokwitnąca szalwia.

Stale oglądałyśmy te kwiaty będące dla nas jakby symbolem „naszego piekła”.

Ogłoszono 4-tygodniową „kwarantannę”, ale nie pamiętam, na czym właściwie

miała ona polegać. Starszym kobietom pozwolono pozostać na bloku, gdzie

miały robić na drutach ciepłe skarpety dla żołnierzy niemieckich. Młode bardzo

wcześniej przydzielono do różnych „komand” roboczych. Pracy było dużo,

zarówno w obozie, jak i poza nim. Wewnątrz obozu: prace porządkowe,

drogowe, remontowe, transportowe, ^{w obozowych} jak również w zakładach przemysłowych

np. szwalni itp. Te, ^{więźniarki} które ^{ja} znały niemiecki - mogły być zatrudnione przy różnych

pracach w kuchni, w kantine, w rewirze, czyli w szpitalu obozowym.

Stanowiska te dawały możliwość pomagania innym więźniarkom. Polki dobrze

^{mówiące po niemiecku} znające niemiecki mogły nawet otrzymać funkcje blokowych lub sztabowych.

Dawało to pewne szanse ochraniających pozostałych koleżanek. Poza obozem

pracowałyśmy w małych zakładach przemysłowych, np. w fabryce pinezek, w

wytwórni trepów drewnianych lub w SS-mańskich gospodarstwach rolnych przy

sadzeniu i wykopywaniu ziemniaków, pieleniu buraków, czasem w ogrodzie.

Szczególnie te prace dawały możliwość „dożywiania” głodujących koleżanek przynoszonymi w ukryciu warzywami lub owocami. Brałam udział kolejno we wszystkich tych pracach, jednak najtrudniejsze były ~~prace~~ przy budowie dróg. H e

Na drugim brzegu jeziora, znajdującego się tuż przed wejściem do obozu, stały wille SS-manów w pięknych ogródkach. Przed nimi miałyśmy wybudować brukowaną drogę do miasteczka. Z ogromnych stosów zebranych kamieni trzeba było wybierać odpowiedni materiał, ładować do pełna na taczki, wciągać na górę i jak najstaranniej układać jezdnię. To było naprawdę ponad siły dwóch wygłodzonych kobiet. Skutecznie jednak „dodawały siły” ^{energii} pejczy dozorujących SS-manek. Kiedyś nocą wezwano naszą kolumnę do pracy. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, pośrodku wśród zgromadzonych kamieni paliło się ognisko. Teren dookoła otoczony był ścisłą eskortą uzbrojonych SS-manów - znowu z tymi wściekłymi wilczurami – prawdziwie obraz piekła! Tym razem nadano wyjątkowo ostre tempo pracy. A ujadające psy i rzemieńne pejczy na plecach wydobywały z nas nadludzkie siły. Było to „komando” złożone z kilkudziesięciu kobiet. Nie wszystkie wytrzymały do końca, ale nie widziałam, co się z nimi stało. Ja jednak wytrzymałam do końca, choć nie wiem jakim cudem.

W 2001 roku na spotkaniu organizacji „One by One” w Berlinie, dokąd zostałam zaproszona jako „świadek tamtych czasów”, odszukał mnie młody człowiek, Niemiec, pytając czy nie znam którejś z tych kobiet, które budowały drogę obok obozu. On urodził się po wojnie w jednym z tych właśnie domków. Chciał mi powiedzieć, że mieszkańcy wybudowali tablicę upamiętniającą

budowę tej drogi przez więźniarki z obozu. Powiedziałam, że to właśnie ja byłam jedną z nich. Był naprawdę wzruszony.

Stosunkowo lżejsze były prace na trzy zmiany w warsztatach obozowych, np. przy szyciu kozuchów lub ochraniaczy na buty dla żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego. W tych pracach również brałam udział i właśnie tam zaczęłam rzeźbić, chroniona przez koleżanki, które za mnie wyrabiały normę. Apele, zwłaszcza wieczorne, były coraz dłuższe, trwały nieraz wiele godzin, sprawdzano bowiem wszystkie komanda wracające z pracy, a czasem wyznaczano kary za jakieś przewinienia. W lichych sukienkach, w drewniakach, choć ciasno ustawione obok siebie, zimą przemarzałyśmy do szpiku kości. Na rannych apelach wyczytywano numery kobiet, które wysyłano do fabryk amunicji.

W późniejszym okresie były także inne „selekcje”. Starsze lub kalekie kobiety wybierano z szeregów i wysyłano do tzw. Jugendlagru, gdzie jakoby miały być leczone. Naturalnie, po prostu je tam likwidowano – rozstrzeliwano lub truto specjalnymi środkami, a zwłoki palono w krematoriach. To dotyczyło nie tylko Polek, ale kobiet wszystkich narodowości. Do Jugendlagru wysyłano właśnie Żydówki i Cyganki, które wcześniej przywieziono z Oświęcimia.

Rzeczywistość, o której piszę – ponura i okrutna – miała także drugą stronę. Przynajmniej Polki były bardzo solidarne i pomagały sobie wzajemnie. Te, które pracowały w kuchni dla SS-manów lub na zewnątrz i miały dostęp do jakiejś żywności, starały się ją przemycić. Ta forma pomocy

była bardzo powszechna i trwała do końca, gdyż w miarę upływu czasu racje żywnościowe stawały się coraz mniejsze, np. pod koniec dostawaliśmy tylko 100 gram chleba na cały dzień, pół litra zupy z brukwi lub jarmużu. Zdarzały się wówczas przypadki śmierci głodowej.

Oprócz walki o przetrwanie biologiczne równie istotne – może bardziej – było pragnienie przetrwania duchowego, uratowania własnego człowieczeństwa. Byliśmy przecież traktowane wyłącznie jak „siła robocza”, „obiekty” pogardy przeznaczone na zagładę. Na przekór temu wszystkiemu podejmowałyśmy różnorodne działania kulturalne i oświatowe. Większość z nas pochodziła z Ruchu Oporu. Było wiele nauczycielek, a także profesorek, kilka artystek. Zaczęłyśmy od opowiadania przeczytanych kiedyś książek, recytowania zapamiętanych wierszy, wspominałyśmy podróże i ciekawe przeżycia. Potem były wykłady z literatury, historii Polski, geografii, a nawet astronomii. Wspominam ze wzruszeniem, jak na długich apelach wieczornych starsza pani profesor opowiadała nam o gwiazdozbiorach, o układach słonecznych – nie czułam wtedy przejmującego zimna, zapomniałam, gdzie jestem. Harcerki, które przybrały nazwę „Drużyny Murów”, miały również swoje spotkania. W niedziele na „15-ce” modliłyśmy się, śpiewałyśmy (zapamiętałam szczególnie piękny śpiew Zofii Rysiówny, później bardzo znanej aktorki). Recytowałyśmy wiersze - Norwida, Słowackiego, Mickiewicza, Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego, a często własne utwory. Poetek obozowych było coraz więcej,

niektóre naprawdę dobre. Ale najpiękniejsze były wiersze Grażyny Chrostowskiej z Lublina:

„to tylko zbyt wcześnie dotknęło mnie cierpienie
że cała się spaliłam na martwy jasny popiół”.

A było to pisane kilka dni przed jej egzekucją.

Zbiór jej wierszy wydano wiele lat po wojnie, a jedna z lubelskich szkół przyjęła ją za patronkę. Wiersze innych poetek, religijne, patriotyczne, miały dużą wartość dokumentalną, gdyż bardzo autentycznie oddawały ~~rzeczywistość~~ ^{obozową} nasze przeżycia. ^{W obozie}

Było z nami kilka znanych już artystek, np. sławna przed wojną Maja Berezowska, która malowała portrety koleżanek, świetna malarka Maria Hiszpańska, zwana przez nas „Myszka”. Jej bardzo liczne wstrząsające rysunki przedstawiały bardzo sugestywnie brutalne, ale prawdziwe sceny obozowe. Rysowałyśmy na skrawkach papieru, które zdobywały koleżanki pracujące w komendanturze. Każda kartka była bardzo cenna. Kilka koleżanek haftowało lub rzeźbiło drobne przedmioty, i do nich właśnie ja należałam. Tworzywem były trzonki szczotek do zębów, bo w takim materiale można było łatwo rzeźbić zwykłym scyzorykiem. To była moja główna twórczość obozowa. Każda z koleżanek chciała mieć taką pamiątkę – rzeźbiłam różne medalioniki, krzyżyki, amorki, a nawet malutkie porteciki. Wiele z tych drobiazgów udało się koleżankom przemycić w obozie i przywieźć do domu. Jeszcze do niedawna

dostawałam listy z podziękowaniami i fotografiami tych drobnych przedmiotów, już oprawionych w srebro lub nawet złoto. To, co tam robiłam, zaważyło na moim losie. Po wojnie nie wróciłam już na polonistykę, tylko studiowałam rzeźbę na ASP.

Jednak najważniejsza w obozie była regularna działalność oświatowa.

Kilkanaście nauczycielek oraz profesorek uniwersyteckich zorganizowało kilkuletni program gimnazjalny. A kiedy po Powstaniu Warszawskim do Ravensbrück przywiezione zostały dzieci zorganizowano dla nich kurs szkoły podstawowej. To wydaje się wprost nieprawdopodobne, było jednak prawdziwe.

Na początku 1942 roku dowiedziałyśmy się, dlaczego nasze oba transporty były nazwane „Sondertransportami”. Po prostu wszystkie przyjechałyśmy do obozu z wyrokami śmierci. 18 kwietnia odbyła się pierwsza egzekucja, 14 kobiet, wśród nich była właśnie Grażyna Chrostowska wraz z siostrą Połą, a także moja przyjaciółka Anita Matyjanka. Na rannym apelu wyczytano numery kobiet, które miały nie iść do pracy. Jako powód podano przeniesienie do innego obozu. Wiedziałyśmy jednak, że to nieprawda. Ukryłyśmy się z Anitą na strychu ponad trzecim piętrem naszych prycz. Anita napisała list pożegnalny do rodziny. Dała mi, aby go wysłać nielegalną drogą. Anita opowiadała mi o swoim dzieciństwie, o tym jak wcześnie straciła matkę. Chciała być nauczycielką, mieć dużo własnych dzieci. Była bardzo spokojna. Modliłyśmy się, śpiewałyśmy, mówiłam jej ulubione wiersze. Dla mnie to było bardzo trudne przeżycie, ponieważ

pierwszy raz uczestniczyłam tak osobiście w odejściu bliskiej osoby. Po apelu wieczornym wyszły wszystkie wyczytane w otoczeniu obozowych policjantek.

Najpierw w małej grupie, potem w coraz większej, szłyśmy w pewnej odległości za nimi. Przed bramą one zaczęły śpiewać polski hymn.

Podchwyciłyśmy śpiew. Wtedy policjantki rzuciły się, żeby nas rozpędzić.

Szalała z pejczem jedna z najgorszych ausierek. Zemdląłam, a kobiety wyciągnęły mnie z tłumu i w ten sposób uratowały. Strzałów nie słyszałam.

Egzekucje odbywały się w ślepej uliczce za komendanturą. Obecnie „droga śmierci” widoczna jest od razu przy wejściu na teren muzeum Ravensbrück, a w 1993 roku na murze umieszczona została tablica z brązu z informacją o Polkach więzionych i zamordowanych w obozie. (Formę plastyczną zaprojektowała i wyrzeźbiła moja córka Aleksandra Kann).

Nie pamiętam, ile egzekucji odbyło się za murami obozu. Ostatnia miała miejsce w styczniu 1945 roku. W sumie rozstrzelano 169 Polek.

Egzekucje nie była jedyną formą likwidowania polskich więźniarek. Ly

Szczególnym okrucieństwem były przeprowadzane na Polkach pseudomedyczne operacje nóg. Stosowano eksperymenty chirurgiczne dwojakiego rodzaju:

mięśniowo-kostne oraz tzw. zakaźne, polegające na wprowadzaniu do organizmu różnorodnych bakterii ropotwórczych (~~chorobotwórczych~~ ^{wyjątkowo} ~~chorobotwórczych~~?). Nogi

gipsowano aż do pachwin i tak pozostawiano bez leczenia, prowadzono obserwacje. Rany goiły się bardzo długo. Po jakimś czasie pobytu w szpitalu

operowane odsyłano na blok i pozostawiano bez pomocy, skazując na potworne cierpienia. Oczywiście kobiety operowane bardzo cierpiały, leżąc w rewirze (szpitalu), a potem na bloku. Pięć więźniarek zmarło zaraz po operacji, niektóre operowano kilkakrotnie, kilka zaś po operacji zostało rozstrzelanych. Operacje zainicjował i przeprowadzał dr Gerbhardt, który w procesie norymberskim został skazany na śmierć.

Na początku marca 1943 roku wezwano grupę 5 dziewcząt, do której również ja należałam. Zaprowadzono nas do rewiru i przez wiele godzin trwały różnorodne badania, takie jak pobieranie krwi, dawano nam jakieś zastrzyki. W pewnej chwili weszła pielęgniarka z sali szpitalnej zawiadamiając, że nie ma żadnych wolnych łóżek dla nowoprzybyłych. W tym samym czasie wprowadzono pięć młodych Niemek z czarnymi winklami (eś oznaczało prostytutki). Miały bardzo duże zmiany skórne na twarzach, jedna nawet była bez nosa, i zatrzymano je do badań. A nam kazano wracać do bloku i zgłosić się do rewiru następnego dnia po porannym apelu – byłyśmy przerażone. Dla mnie było jasne, że te Niemki przeznaczone są do operacji łącznie z naszą grupą. Zdecydowałam się od razu, że nie poddam się tej operacji, bez względu na to jakiegokolwiek miałyoby to przynieść konsekwencje.

Poszłam do jednej z mojej grupy ^{z wytypowanych} pytając, czy podejmie taką samą decyzję.

Powiedziała, że tak. I wszystkie pozostałe zgodziły się również. Wtedy poszłam do koleżanek już operowanych i powiedziałam im o tej sytuacji i naszej decyzji.

Narady trwały całą noc, zdania były początkowo podzielone, w końcu jednak

wszystkie operowane zgodziły się na podjęcie wspólnego protestu. Napisały pismo do komendanta obozu z żądaniem wyjaśnienia sprawy przeprowadzanych operacji. Wszystkie to pismo podpisałyśmy. Rano po apelu ustawiliśmy się w grupie, dziewczęta operowane o kulach lub na wózku, a na końcu my – pięć zdrowych. Był to rzeczywiście wstrząsający pochód. O dziwo, wpuszczono nas do komendantury i koleżanka biegle mówiąca po niemiecku zreferowała całą sprawę. Komendantka Langefeld (zastępująca wówczas głównego komendanta) starała się nas uspokajać, że nic nam się nie stanie, że operacje nie są groźne i wreszcie kazała nam wracać do bloku. Przez kilka dni nasz blok był zaciemniony, ograniczone jedzenie, ale innych kar nie zastosowano. Przez pewien czas panował względny spokój, a nasza piątka nie została już więcej wezwana. Była to pierwsza jawna manifestacja przeciwko temu, co działo się w obozie. W sierpniu doszło jednak znowu do bardzo dramatycznych wydarzeń. Dziesięć Polek, w tym kilka uprzednio operowanych, zostało wezwanych do rewiru. Wszystkie odmówiły. Wobec tego blok został otoczony przez obozowe policjantki, które starały się wyłapać wezwane kobiety. Udało się im złapać tylko jedną. Wtedy pozostałe też wystąpiły z szeregu. I wszystkie zostały zabrane przez policjantów do bunkra. Z bunkra pięć dziewcząt zwolniono, a pięć zatrzymano na operacje. Broniły się rozpaczliwie, ale SS-mani zakneblowali im usta, a lekarze w tym czasie przeprowadzali operacje – były w brudnych ubraniach i w brudnym, ciemnym bunkrze. Nieprzytomne przewieziono do rewiru. Po tym wypadku SS-mani twierdzili, że wszystkie

więźniarki z bloku 15-tego powinny być właściwie rozstrzelane. Tak się jednak nie stało. Za karę zostałyśmy znowu zamknięte w bloku bez światła i bez posiłków przez kilka dni.

Operowane kobiety nazywano „królikami” i ta nazwa do dziś funkcjonuje.

Sytuacja tej grupy dziewcząt była wyjątkowo dramatyczna. Nie tylko cierpiały fizycznie, ale także psychicznie. Były bowiem przekonane, że SS-mani nie będą chcieli zostawić żywych dowodów swoich zbrodni, czyli pod koniec wojny zostaną zgładzone.

Wiadomości o tym, co działo się w obozie powinny być dostać się na zewnątrz.

Ale jak? Niekiedy przekazywano listy przez koleżanki pracujące poza obozem (przez kontakty z wykonującymi roboty przymusowe) – było to jednak bardzo niebezpieczne.

W legalnej, ocenzurowanej korespondencji miałyśmy prawo pisać wyłącznie na blankietach obozowych, oczywiście po niemiecku. Po pewnym czasie niektóre koleżanki opracowały technikę pisania na tych blankietach atramentem sympatycznym tzn. moczem lub sokiem z cebuli. I to się nawet udawało.

Wymyśliły to Wojtka Buraczyńska i Bogna Bąbińska z Warszawy, a także z Lublina Wanda Wojtasik, Nina Iwańska i inne. Listy dochodziły, ale też niewiele można było zmieścić tych wiadomości, były to trudne i niebezpieczne.

Na początku 1943 roku dostałam się do kolumny roboczej, która jeździła do miejscowości Neusterlitz, gdzie w magazynach żywnościowych pracowali jeńcy

polscy z oflagu nr 2. Nasza kolumna składała się z 10 młodych dziewcząt i drużynowej. Jeździłyśmy co tydzień, pod nadzorem jednej tylko ausierki oraz kierowcy samochodu ciężarowego. Przewożyłyśmy żywność z magazynów w Neusterlitz do kantyny oficerskiej. Na rozległym placu, w pewnej odległości od magazynów, stał drewniany ustęp, z którego wolno nam było korzystać.

Wpadłam na pomysł, aby wykorzystać taką okazję i nawiązać kontakt z jeńcami. Poprosiłam o skorzystanie z wychodka i na skrawku papieru, który miałam przy sobie, napisałam kilka słów z prośbą o kontakt, podpisując się imieniem i nazwiskiem, podając swój adres. Wetknęłam go w szczelinę ściany. Pod koniec pracy, poszłam po raz drugi. Czekala tam już na mnie odpowiedź. Chłopcy polscy zgadzają się, dziękują za to, że się odezwałyśmy i podejmują propozycję stałego kontaktu. Kiedy przyjechałyśmy w następny poniedziałek, obok starego budynku toalety stał nowy, wybudowany specjalnie dla nas. Jeńcy szybko nawiązali bardzo sympatyczny kontakt z ausierką i kierowcą, co bardzo pomogło – bo łagodniej nas traktowali. Po wejściu do nowego ustępu zobaczyłam, że pod klapą klozetu jest wbudowana skrytka, a w bocznej ścianie okrągły nieduży otwór w kierunku starego budynku, w którym również był taki sam otwór. Zobaczyłam, że tam ktoś jest i mówi do mnie. Chłopak przedstawił się jako ^{representant} przedstawiciel całej grupy i powiedział, że czekają na wszelkie wiadomości i listy od nas. Prosił, aby uznać ten kontakt za stały i żebym zajrzała do skrytki, bo tam jest dla nas paczuszka. Wzięłam ją, zostawiając listy od nas. Kontakt nasz miał podwójne znaczenie. Pierwsze to była pomoc rzeczowa, o

której wiedziała cała grupa łącznie z drużynową i naszym „dozorem”. Drugie jednak - ^{działanie} konspiracyjne było tajne. Tylko ja przenosiłam listy w obie strony. O nawiązaniu tego kontaktu zawiadomiłam operowane koleżanki, które od tego czasu przygotowywały dokładne listy egzekucji, operacji łącznie z nazwiskami i datami, czyli całą historię obozu. Ja również pisałam za każdym razem list do ^{1972 r. w. w.} ^{20. X. 1945 r.} chłopców, w którym także kreśliłam jakie są nasze potrzeby. Dołączałam mnóstwo listów do rodzin, wiersze, rysunki, a także drobne prezenty dla ^{... kogoś} nich i do wysłania. My zaś dostawałyśmy naprawdę poważną pomoc w postaci: lekarstw, książek, informacji o sytuacji w kraju i na frontach, pismo polskich jeńców wojennych „Dzwon” itp. Ja osobiście otrzymałam świetny scyzoryk, naprawione okulary, dodatkowy materiał do rzeźb (płytki z plastiku używanego w lotnictwie). Bardzo szczególnym i ważnym dla nas darem było kilkakrotne przekazanie komunikantów, o które prosiły głęboko wierzące koleżanki. Były one w zalakowanej puszcze metalowej, zakopywanej w ziemi obok ubikacji. A zdarzył się taki szczególny, wzruszający wypadek, że jedna z kobiet, która przyjęła komunię, następnego dnia była rozstrzelana. To niezwykle, że mogła przyjąć sakrament!

Zdołałam napisać w obozie sztukę sceniczną pod tytułem „Noc wigilijna”. Nasi chłopcy zawiadomili nas o rozpisany przez Czerwony Krzyż w Genewie konkursie dla jeńców wojennych. Zaproponowali, że pod nazwiskiem któregoś z nich mogą przesłać utwór. Dostałyśmy potem wiadomość, że moja sztuka pod nazwiskiem jednego z podchorążych dostała pierwszą nagrodę. Sztukę tę

wyreżyserowałam także na ostatnie święta w 1944 roku. Była choinka, *pod nią* wyrzeźbiona przez *o* mnie szopka. Bardzo wzruszająca uroczystość. Tekst samej sztuki zaginął, szkoda.

Dowiedziałyśmy się od przywiezionych do obozu Francuzek, że radio BBC nadawało informacje o operacjach doświadczalnych w Ravensbrück łącznie z nazwiskami operowanych osób. Dzięki temu z Czerwonego Krzyża zaczęły przychodzić paczki na niektóre z *wymienianych* nazwisk. Nasz kontakt z Neusterlitz trwał co najmniej do końca 1944 r.

Pewnego dnia zostałam w bloku, aby wykonać prezenty dla naszych przyjaciół, jedna z operowanych koleżanek – na tyle podleczone, że mogła już dobrze chodzić - zaofiarowała się *o* mnie zastąpić w kolumnie. Kiedy stałyśmy na wieczornym apelu za blokami powstał jakiś zamęt. Okazało się, że komendantowi, który robił obchód, wydały się podejrzane więźniarki wracające z Neusterlitz. Jedną z nich zatrzymał, inne zaczęły uciekać. Wobec tego policjantki wyłapały całą kolumnę. Kiedy dotarła do mnie ta wiadomość, postarałam się bardzo szybko przekazać to, co miałam przy sobie innym koleżankom, podbiegłam do swojej kolumny i wymieniłam koleżankę, która nie miała prawa się w niej znajdować. Kolumna w „legalnym składzie” dostała karę 6 tygodni zamknięcia w ciemnym bunkrze o głodzie. Dostawałyśmy kromkę chleba dziennie, co trzeci dzień – talerz zupy. Tak się zakończyły nasze wyprawy do Neusterlitz i moja działalność. Chcę jeszcze *wrócić do* ~~opisać~~ *opisać* jednego *z tamtego okresu i* wzruszające wspomnienie **Ausierka** powiedział pewnego razu, że mamy

wykonać pracę w magazynie (do którego nigdy dotąd nie miałyśmy wstępu). Nasi dozorczy oddalili się. Weszłyśmy do środka, nagle otoczyli nas chłopcy. Zdumienie, radość, chaotyczne pytania i odpowiedzi, ogromne wzruszenie, uściski. Jakby spotkała się jedna wielka kochająca się rodzina! Była to zupełnie „nieobozowa” rzeczywistość! Wracałyśmy wieczorem na odkrytej platformie. Najpierw nieśmiało, po cichu, potem coraz głośniej, śpiewałyśmy polskie piosenki: wojskowe, harcerskie - różne. A nasi dozorczy nie interweniowali. Dopiero gdy dojeżdżałyśmy do miasteczka, kazali nam się wyciszyć dając znać, abyśmy przestały. A więc byli to jednak przyzwoici ludzie, którzy bali się tylko, że mogą ponieść konsekwencje za swoją tolerancję wobec nas.

Pod koniec obozu przerażająco wzrosła liczba więźniarek. Przybyły kobiety z Powstania Warszawskiego: młodziutkie dziewczyny, matki z dziećmi, kobiety ciężarne i sporo małych dzieci bez rodziców. Były też stare i schorowane kobiety. Nowoprzybyłe umieszczono najpierw w ogromnym namiocie, bez posłań, bez racji żywnościowych. Jako grupa długoletnich więźniarek, pomagałyśmy im w miarę możliwości, przynosząc jedzenie. Namiot w końcu został rozmontowany, a wszystkie kobiety znalazły się w tzw. nowym obozie (który ^{wcześniej} kiedyś zbudowałyśmy). ^{w końcu} My także musiałyśmy się ^{tam} przenieść i spałyśmy wtedy już po trzy – chore i zdrowe - na jednej pryczy. Szerzyły się epidemie tyfusu, biegunki, gruźlicy. Umierałyśmy z głodu i wycieńczenia. Racje żywnościowe były znikome. Któregoś dnia kilka kobiet niosących zupę z

brukwi w kotle upuściło go, bo jedna z nich przewróciła się i zawartość kotła wylądowała na ziemi. Zagłodzone więźniarki rzuciły się by zebrać resztki zupy.

Wiosna 1945. Zbliżał się koniec wojny. W obozie panował chaos nie do opisania. Szwedzki Czerwony Krzyż zabierał grupki więźniarek, przeważnie

^{ek} Polki. Nie zgłosiłam się, ponieważ chciałam pozostać z operowanymi koleżankami, którym nie wolno było wyjechać. Do bloków zaczęto przynosić ubrania cywilne ze stosu ubrań zdartych z nas przy wejściu do obozu.

Oczywiście przypadkowe. Odzież oznaczona była na plecach białymi krzyżami namalowanymi olejną farbą. Rzucono nam też buty. W obozie zawsze gubiłam drewniaki za duże na moje nogi! Często koleżanki śmiały się z tego powodu.

Nagle zobaczyłam swoje własne. Te, w których zostałam aresztowana, a potem przywieziona do obozu! Były to bardzo ładne i wygodne czarne półbuciki, własnoręcznie zrobione przez mojego ojca jesienią 1939 roku, gdy nie miałam w czym chodzić. Ojciec nie był szewcem, ale umiał zrobić wszystko. To było piękne. Mogłam wrócić do domu w swoich własnych butach!

28 kwietnia 1945 – byłam w jednej z ostatnich grup wychodzących z obozu kobiet. Był tam wózek dla niechodzących koleżanek. Ciągnęłyśmy go na zmianę. Położyłyśmy na nim także nasze pakunki, w których były m.in. pamiątki z obozu. Przed wyjściem przez bramę obejrzałam się na obóz – przestrzenie między opuszczonymi barakami były puste. Podobnie pusta ulica Lagrowa – nie kwitła jeszcze czerwona szalwia! Przed każdym blokiem leżały

stosy nagich, martwych ciał, zebranych ze wszystkich bloków. Przeznaczone były do krematorium. Skąd tyle się ich wzięło? To był straszny widok.

Dowiedziałam się od mojej przyjaciółki Kamy Janowicz, która pracowała jako pielęgniarka w obozowym rewirze, że wraz z Hanią Burdówną i dr Janiną

Węgierską, polską lekarką, muszą pozostać w obozie z 1200 ciężkocho^{rych}

^{tanii} kobiet, które nie mogły być ewakuowane. Myślałam o nich ze strachem i

podziwem. Dopiero potem już w Polsce dowiedziałam się, że obóz był

zaminowany. Żołnierze sowieccy po przejęciu obozu musieli rozminować cały

teren. Nikt już nie zamknął za nami bramy. Maszerowałyśmy z chorymi nie

wiedząc, co nas czeka. Za bramą obozu szłyśmy zwartą kolumną pod wodzą SS-

manów, jeszcze uzbrojonych. Poganiali nas wciąż, nie szczędząc razów. To oni

się teraz śpieszyli – byle dalej od obozu. Byłyśmy wycieńczone i głodne, ale

pod groźbą śmierci szłyśmy. Jednak, ^MJeśli któraś kobieta upadła, Niemcy

natychmiast ją zabijali. Za nami szli więźniowie z męskiej, mniej licznej części

obozu. Wydaje mi się, że byli w pasiakach.

Drugiego lub trzeciego dnia marszu, po drugiej stronie drogi zobaczyłyśmy

sporą kolumnę niemieckich żołnierzy. Popatrzyłyśmy na siebie. Ci „dumni

zwycięzcy” wyglądali tak ^{samo} nędznie jak my – szli w poszarpanych mundurach, o

twarzach ponurych i głodnych. Nie cieszył mnie ten widok, ale myślałam z

przerażeniem: jakie szaleństwo i jacy szaleńcy pchają ludzi do wzajemnego

mordowania się. Losy każdej wojny zawsze są niewiadome. Nie ma

zwycięzców ani zwyciężonych, tylko po każdej stronie tysiące tysięcy, miliony

stała spokojnie – miałyśmy całe wiadro mleka i chleb. Ruszyłyśmy dalej, utrzymując kierunek nadany przez Niemców. Oni chcieli dostać się do strefy amerykańskiej, by uniknąć spotkania znienawidzonych Rosjan.

W nocy z 2 na 3 maja dowlokłyśmy się do położonego tuż przy drodze dużego gospodarstwa. Część kobiet weszła do domu. Ja i moja przyjaciółka zagrzebałyśmy się w stogu pachnącego siana. O wschodzie słońca zobaczyłam, że las na horyzoncie porusza się - to żołnierze jechali na małych koniach.

Prawdopodobnie byli to Kazachowie, przejechali jednak i znikli.

Nazajutrz stałyśmy ^{na} skraju drogi patrząc na furmanki z Niemcami, którzy wracali do swoich domów. Żołnierze sowieccy regulowali ruchem na drodze.

Jakiś oficer sowiecki popatrzył na nasze krzyże na plecach. Spytał, skąd jesteście. Powiedziałyśmy, że jesteście więźniarkami politycznymi z obozu Ravensbrück i wracamy do kraju – do Warszawy. „Jak będziecie wracać?”

Pieszko. „To niemożliwe, musicie dostać jakiś wóz i konie.” Prosiłam, żeby z tego gospodarstwa, w którym się zatrzymałyśmy, nie zabierać koni. Kazał nam iść wraz z nim do sąsiedniego. Tam wystraszeni Niemcy twierdzili, że wszystko już im odebrano. Ale stojący za stodołą robotnicy przymusowi pokazali, gdzie są ukryte konie. Były dwa piękne: jeden kary, drugi gniady. Oficer szukał dla nas także wozu. Była tylko bryczka, nawet bardzo ładna - gospodyni lamentowała. Kazał załadować siano, obrok i sprzęt. Spytał tylko, czy umiemy powozić. Skłamałam, że umiem zajmować się końmi. Dopiero teraz pojechałyśmy właściwą drogą na Wschód. Kilka dni tak jechałyśmy,

zatrzymując się na noclegi. Napotkani ludzie doradzali, jak się opiekować końmi. W drodze kilkakrotnie chciano nam te konie odebrać, ale sowieccy wojskowi początkowo dawali się przebłagać. Któregoś dnia naprzeciw nas jechała z wielkim pośpiechem fort poczta wojskowa. Zobaczyli nas i zabrali nam nasze konie w zamian dając zmęczone i chore z biegunką. Szczęśliwie z pomocą ofiarowali się dwaj polscy więźniowie. Obiecali wyleczyć konie za możliwość jazdy z nami. Rzeczywiście doprowadzili zwierzęta do normalnego stanu w ciągu dwóch dni. Mężczyźni ci ostrzegli nas, że w tych okolicach są dokonywane gwałty na powracających do kraju kobietach. Dopuszczają się ich sowieccy żołnierze. Wkrótce przeżyliśmy bardzo dramatyczną noc. Do gospodarstwa, w którym zatrzymało się wielu powracających ludzi, wdarł się oddział pijanych żołnierzy. W pokoju na górze ^{gdzie byliśmy tylko my} wszystkie trzy słyszałyśmy co się dzieje w sąsiednich pokojach. Był to po prostu koszmar. Nagle do naszego pokoju wpadł bardzo młody oficer. Rzuciłam się do niego z błaganiem, by nas obronił przed swoimi żołnierzami. Gorączkowo opowiadałam mu, że wracamy z pięcioletniej niewoli w obozie, że Janka jest tak ciężko chora... To dziwne, ale wysłuchał mnie. Wyrzucił żołnierzy, którzy się właśnie do nas dobijali. Został z nami w pokoju, nie pozwalając wejść nikomu. Pytał o Warszawę (chciałby ją zobaczyć). Wreszcie usnął, a ja siedziałam tuż przy nim. Rano pożegnał się z nami przyjaźnie. Myślę, że naprawdę stał się wyjątkowy cud. I była to już ostatnia noc – najstraszniejsza – znowu darowane życie.

Dojechałyśmy wreszcie do Krzyża, do polskiej granicy. Za drobną sumę
sprzedałam wóz i konie, bo stąd już odchodził właśnie pociąg towarowy.
Załadowałyśmy się i dojechałyśmy bez zatrzymań ^{prosto do Warszawy, ~~bez~~ z zachodniej} aż do Warszawy Zachodniej.

Do Ursusa było już niedaleko. 15 maja - moje imieniny. Około południa olga
zapukałam do drzwi mojego mieszkania. Przestraszyłam się, gdy za drzwiami
zobaczyłam obcą kobietę. Ale zaraz pokazała się mama i jej siostra. Nie
dostrzegłam ojca. Kiedy się przywitałyśmy, spytałam o niego, zapadło
milczenie. Płakałyśmy wszystkie. Umarł w rok po moim aresztowaniu.

Moja przyjaciółka była w takim stanie, że musiałam ją tego samego dnia
zaprowadzić do szpitala. Okazało się, że faktycznie miała tyfus. (Na szczęście
wyzdrowiała po kilku tygodniach.) Tego pierwszego dnia poszłyśmy z mamą na
grób ojca. Chciałam go przywitać, a musiałam pożegnać. A przecież gdy mnie
zabierano, mówiłam „Wiem na pewno, że wrócę”, „Tak, wierzę” –
odpowiedział wtedy.

Nazajutrz rano poszłam do Warszawy (z Ursusa to tylko 10 km). Pierwsze
wrażenie było porażające. Ponad zwałami gruzów, niewiele ocalałych
budynków, większość zrujnowanych, bez dachów i okien. Jedno wielkie
cmentarzysko. Umarłe miasto – czy może ono wrócić do życia? Zobaczyłam
jednak, że miasto żyje. Na odgruzowanych ulicach pełno było ludzi, przed
zburzonymi kamienicami na Marszałkowskiej pobudowano mnóstwo

sklepików, jakieś sklecone budki pełne różnych towarów. Kupców i kupujących.
Warsztaty wszelkich specjalności.

W Alejach Jerozolimskich (arteria Wschód- Zachód) pełno furmanek jadących w obie strony, załadowanych sprzętem i żywnością, a na Wiśle jeden tylko pontonowy most. Słyszało się głośne wołania: „Na Pragę jedziemy” lub „Kto z nami na Wolę?”. Pomyślałam: szkoda, że nie mam swoich darowanych koni. Jeździłabym jako przewoźniczka. Tak wyglądało życie Warszawy zależnej od ludzi, którzy do niej wracali i od ich pracy.

Wiedziałam, że moje miejsce jest na studiach. Uczelnie właśnie zaczęły swoją działalność. Nie wróciłam jednak na polonistykę, lecz zdałam na rzeźbę do Akademii Sztuk Pięknych i wybór ten okazał się słuszny. Praca ta sprawiała mi wielką radość, byłam też doceniana, a nawet wyróżniana od pierwszego roku studiów. Wprawdzie w sztuce polskiej obowiązywał już socrealizm całkowicie podporządkowany ideologii marksistowskiej, Jednak profesorami uczelni byli świetni przedwojenni artyści. Na rzeźbie był prof. Breyer, a na malarstwie prof. Cybis. Stworzyli oni pewną możliwość swobodnego rozwoju zależnego od indywidualnych zdolności. Atrakcją dla studentów była zlecona niektórym z nas rekonstrukcja rzeźb z architektury miejskiej Warszawy, w oparciu o zachowaną dokumentację fotograficzną. Brałam w tych pracach duży udział. Barokowe postacie amorków trafiały na odbudowywane attyki warszawskich pałaców. Na początku studiów mieszkałam w domu akademickim, w którym znajdowało się

także kilka koleżanek z obozu. Przeważnie były na innych kierunkach, głównie medycznych.

Na drugim roku studiów wyszłam za mąż za kolegę rzeźbiarza i już w następnym roku musiałam opuścić akademik, gdyż urodziła mi się córeczka.

Jednak na studiach nie miałam żadnych zaległości ani kłopotów. Dyplom (model pomnika Beethovena 3-metrowej wysokości) zrobiłam wprawdzie z jednorocznym opóźnieniem, ale wcześniej zdażyłam urodzić jeszcze trzy córki.

Pierwsze lata rodzinnego życia były dla nas bardzo trudne, ponieważ nie mieliśmy mieszkania. Wielokrotnie wynajmowaliśmy jakieś pomieszczenia u znajomych, ale na krótko. Dopiero w roku 1950 dostaliśmy przydział mieszkania. W zburzonej i odbudowywanej Warszawie uzyskanie mieszkania było niezmiernie trudne. I tak otrzymaliśmy je stosunkowo szybko, bo władze uznały, że byłym więźniom obozów koncentracyjnych należy się pierwszeństwo. Na listach oczekujących dawano jeden punkt za jeden miesiąc obozu, więc miałam tych punktów wiele. Mieszkanie było dla nas pewną stabilizacją. Mąż mój pracował w Państwowym Biurze Odbudowy Stolicy, ja zaś zarabiałam wykonując rzeźby rekonstrukcyjne lub małe rzeźbki do Cepelii.

Brałam też udział we wszystkich możliwych wystawach w kraju, a nawet zagranicą. Najważniejsza z nich odbyła się w 1956 r. (czas przełomu). Była to wystawa Sztuki Młodych w Arsenale. Wystawa ta wypromowała kilku wielkich artystów, np. Jana Lebensteina. Dostawałam nagrody, czasem sprzedawałam jakąś rzeźbę. Mama pomagała mi w domu, dziewczynki chodziły już do

przedszkola, najstarsza do szkoły. Czułam się szczęśliwa. Po pewnym czasie otrzymaliśmy od Ministerstwa Kultury i Sztuki przydział pracowni rzeźbiarskiej dla nas dwojga. To było wielkie osiągnięcie, dawało możliwość wykonywania większych prac w każdej technice. Kilka prac, które tam wykonałam mogłam odlać w żeliwie, m.in. jedną dużą rzeźbę zainspirowaną powstaniem węgierskim 1956 r. Po pewnym czasie zainstalowaliśmy także piec do wypalania ceramiki. W tej pracowni powstała moja pierwsza rzeźba do polskiej części Muzeum w Ravensbrück. Obecnie znajduje się ona w części ogólnej muzeum. Ciała polska została przeniesiona i dla niej wykonałam nową rzeźbę w latach 90.

Po 13 latach małżeństwa rozwiedliśmy się. Mąż zatrzymał pracownię, ja zostałam z dziećmi bez miejsca do pracy. Musiałam sama utrzymać rodzinę. Podejmowałam wówczas szereg różnorodnych prac plastycznych i za wszelką cenę chciałam pozostać w zawodzie, pracować twórczo, a nie odtwórczo. W trudnych warunkach udało mi się zrealizować pomnik Pawiaka. Brałam udział w wystawach np. „Rzeźba dla Warszawy”. Dostałam III Nagrodę i praca była przeznaczona do realizacji, ale nigdy do niej nie doszło. W tym samym czasie dostałam od Ministerstwa Kultury i Sztuki nową pracownię, co przyniosło bardzo korzystną zmianę. Pracuję w niej do dziś.

Był to okres mojej dużej aktywności twórczej. Wykonałam siedem pomników na terenie Polski. Dostałam także nagrodę w Sofii. Brałam udział w II Biennale Dantesco w Ravennie. W 1966 byłam komisarzem Międzynarodowej Wystawy

Kobiet w Nancy (Francja). Kilka lat także poświęciłam pracy przy konserwacji zabytków, zarówno w Warszawie: na Starym Mieście, w Wilanowie, w Łazienkach, na cmentarzu żydowskim, ^{jak i} również w innych miastach: Kazimierzu nad Wisłą, w Pińczowie, Bejskach itp. W czasie wakacji brałam udział w plenerach rzeźbiarskich (prace w kamieniu, drewnie oraz ceramice). W latach 70. wzięłam udział w dużej realizacji parkowej dla miasta Wałbrzycha. W ciągu kilku lat wykonałam kilkanaście dużych prac w ceramice na temat legend polskich pt. „Starodzieje”, a rzeźba pt. „Słoneczko” (o średnicy 3 m) to chyba jedyna w Polsce rzeźba tej wielkości w polewie ceramicznej. W stanie wojennym większość artystów (ja także) zawiesiło wszelką publiczną działalność. Tworzyłam wtedy kameralne rzeźby w swojej pracowni, a także jak w okresie II wojny znowu przewoziłam prasę podziemną, małe gazetki „Solidarności”. Przechowywałam także sprzęt drukarski, książki wydawane w podziemiu. Czułam się bezpieczna, bo wcześniej nie byłam aktywnie zaangażowana w działalność opozycyjną. Raz tylko w 1968 roku włączyłam się do manifestacji studenckiej, ale udało mi się uciec przed „pałkarzami”. Wywiozłam wtedy do Pragi odezwę studencką do młodzieży. Okupacja sowiecka bolała bardziej niż bieda, a w pewnym sensie była gorsza od hitlerowskiej, bo rozkładała społeczeństwo od wewnątrz, zaś okrucieństwo katów w polskich mundurach nie ustępowało okrucieństwu faszystów. Wiedzieliśmy o egzekucjach na akowcach, o Katyniu, łagrach itd. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa.

Bardzo szczególnie układał się mój kontakt z Niemcami. W latach 50.

pojechałyśmy dużą grupą na zbiorowym paszporcie na otwarcie polskiej części muzeum w Ravensbrück. Wprawdzie dzieci niemieckie witały nas kwiatami,

jednak było to bardzo sztuczne, a kontakt z obozem, gdzie wyczuwało się

jeszcze nie tak dawną naszą obecność, był smutny. Opiekunem i tłumaczem w

naszej grupie był młody Niemiec, dobrze mówiący po polsku - jak się okazało,

pochodził ze Śląska. Po ceremonii otwarcia naszej celi w muzeum podszedł do

mnie i rozpoczął rozmowę. Podobała mu się moja rzeźba (~~nie był to bowiem~~

~~soerealizm~~). Byłyśmy także w Berlinie. Przy oprowadzaniu nas po mieście

częściej ze mną rozmawiał, wreszcie zwrócił się z niespodziewaną propozycją,

abym została jeszcze kilka dni w Berlinie. „Spróbuję załatwić zaproszenie od

berlińskiego związku plastyków.” Była jeszcze jedna tłumaczka w naszej

grupie, bardzo miła Irena pracująca w biurze turystycznym. Powiedziała, że

przedłuży swoją funkcję tłumaczki, jeśli ja zostanę. Trochę z lękiem, ale

zgodziłam się. Chciałam zobaczyć coś więcej niż obóz. Dziwne, ^{ale} udało się to

załatwić. Koleżanki odjechały, ja zostałam na koszt berlińskich artystów.

Chodziliśmy w trójkę, zobaczyłam Wschodni Berlin, bogate w zbiory muzea

(nasze były zrujnowane). Pojechalśmy nawet zobaczyć gotycką katedrę w

Naumburgu. Czas minął niepostrzeżenie. Do Warszawy wracałam samolotem –

mój pierwszy lot. (Było pogodne popołudnie. Byłam zachwycona.)

W 1978 roku zostałam zaproszona w sześcioosobowej grupie kobiet (z różnych obozów) przez stowarzyszenie Maximilian Kolbe-Werk we Freiburgu. Założył je Alfons Erb, a celem było pojednanie w bezpośrednich kontaktach Polaków z Niemcami. Byłyśmy w pierwszej grupie zaproszonych, akcja ta jednak rozwinęła się na szeroką skalę i uczestniczyło w niej bardzo dużo byłych więźniarek i byłych więźniów. ^{aliam +} Niemcy zorganizowali te nasze ~~pobyty~~ w bardzo atrakcyjny sposób. Dwie lub trzy osoby mieszkały u jednej rodziny, w różnych domach. Każdego dnia całą grupę zabierano samochodami na wycieczki po kraju. Zwiedzałyśmy interesujące znane miasta, różne malownicze miejscowości, przejechałyśmy przez góry Schwartzwald, widziałyśmy wodospad na Renie. Był nawet kilkudniowy wyjazd do południowej Francji: Strasburg, Autun, Taize. Intencją gospodarzy było zapewnienie nam ^{emnuśh} przyjaznych warunków, pokazanie własnego kraju w czasie pokoju. Kontakty nasze były serdeczne, nawiązywały się trwale przyjaźnie. Były długie rozmowy na temat naszych przeżyć obozowych; oni opowiadali o swoich wojennych losach. Zacierała się między nami przepaść stworzona przez hitlerowską okupację i terror. Byli to zwykli ludzie, którzy równie jak my nienawidzili przemocy i w przeszłości też ponosili ofiary. Ci Niemcy byli w większości nauczycielami, korzystali z kontaktu z nami, aby ich uczniowie zrozumieli bezsens faszystowskiego totalitaryzmu. Do Polski przyjeżdżali młodzi Niemcy (przeważnie nauczyciele) i wtedy moja pracownia stawała się miejscem ich zakwaterowania. A kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny, wówczas

Niemcy z Kolbe-Werk zorganizowali wydatną pomoc dla byłych więźniów. Elżbieta Erb i dr Gisela Armbruster przyjeżdżały samochodem ciężarowym wyładowanym odzieżą i żywnością docierając do różnych miejsc Polski. Także niektóre szpitale zaopatrywano w leki i sprzęt. W Katowicach cały drogi sprzęt okulistyczny był ufundowany przez tę organizację. Ja i kilka koleżanek byłyśmy bardzo mocno zaprzyjaźnione z dr Giselą. Zapraszała po kilka osób prywatnie do swojego domu. Była to wyjątkowo mądra i ofiarna kobieta. Kiedy przyjeżdżała do Polski była już ciężko chora, zmarła w 1990 roku. W rocznicę jej śmierci spotykamy się na mszach w jej intencji. Kontakty korespondencyjne, wtedy nawiązane trwają do chwili obecnej.

W maju 1993 roku w 50 rocznicę powstania w getcie miałam w Muzeum Pawiaka indywidualną wystawę rzeźbiarską „Pamięci Żydów polskich czasu zagłady”. W tym samym roku w listopadzie przeszłam operację okulistyczną (źle wykonaną) i straciłam widzenie w prawym oku, a w 1994 zostało uratowane oko lewe i mogłam dalej rzeźbić.

W 1999 roku wzięłam udział w międzywyznaniowych spotkaniach oświęcimskich zorganizowanych przez Zakon Pokoju. Wstrząsające było dla mnie spotkanie w bloku śmierci, gdzie każdy mówił o swoich przeżyciach. Szczególnie wyznania młodej Niemki, która opowiadała o swoim dziadku, którego bardzo kochała i przypadkowo dowiedziała się, że w czasie wojny brał udział w zagładzie Żydów. Ja również po raz pierwszy publicznie opowiadałam o swoich doświadczeniach w obozie Ravensbrück. Poznałam wielu bardzo

interesujących ludzi. Liturgie w różnych obrzędach, kaddisz w ruinach krematorium, rozmowy. Oświęcim przeżyłam bardzo mocno, dotknęłam sprawy holocaustu chyba głębiej niż gdy sama byłam w obozie. Temat ten więc nadal realizuję w moich rzeźbach.

W 2001 roku zostałam zaproszona do Berlina na spotkanie zorganizowane przez organizację „One by One”. Były tam ciągłe dyskusje o stosunku Żydów do Polski i odwrotnie, zorganizowano także warsztat dyskusyjny polsko-niemiecko-żydowski. Zwiedzaliśmy Muzeum Holocaustu, gdzie symbolem holocaustu był kanał śmierci, z którego wysypywały się żelazne maski – niezwykle prosty i wstrząsający przekaz plastyczny.

Rok później uczestniczyłam w seminarium zorganizowanym w Lublinie przez Fundację „Polsko-Niemieckie Pojednanie”. Inicjatorem była strona niemiecka. Równoległe odbył się plener malarski „Przeciw przemocy”, w którym brała udział moja córka Aleksandra.

„Bez względu na to, czy wrócimy, czy też nie, historia Polek w Ravensbrück i w ogóle historia obozu, możliwie najbardziej dokładna i obszerna, musi się wydostać na światło dzienne, prawdziwa i niezmienniona” pisałam w liście do polskich jeńców w Neusterlitz, z 9 października 1943 roku. Ten cytat umieszczono na obwolucie książki dokumentalnej pod tytułem „Aby świat się dowiedział” (Wyd. Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1980). Jak już wcześniej pisałam, oprócz prywatnych listów do jeńców i do naszych rodzin,

oprócz obozowych wierszy i drobnych pamiątek, przewoziłam ważne dokumenty opracowane przez operowane koleżanki. Część dokumentów jeńcy zabezpieczyli w szklanym pojemniku i zakopali. Pojemnik ten został odnaleziony na początku lat 70. Cała ta nielegalna korespondencja została opisana w relacjach byłych jeńców, przeważnie lekarzy. Dlaczego piszę o tym teraz, na końcu mojej relacji? Minęło 60 lat – to prawie całe życie. Mimo, że w okresie wojny i obozu zawsze byłam aktywna - na miarę moich możliwości - po powrocie do kraju odcięłam się od tamtej rzeczywistości, nie brałam udziału w żadnych wspomnieniach i relacjach. Teraz więc, kiedy na skutek nowych przeżyć - lub może ^z poczucia obowiązku - zdecydowałam się pisać o Ravensbrück, widzę, że nie może to być historia „dokładna i obszerna”, jak wyobrażałam sobie wtedy, ponieważ jest ona dziś zatarta przez odległość czasu i luki ^w pamięci. Jednak najtrudniejszym ^o do pokonania był głęboki opór ^{HS} psychiczny przed koniecznością powrotu do tamtych strasznych i skomplikowanych zdarzeń, które wypełniły pięć lat mojego życia. Jednak to moje własne, prawdziwe życie jest drobną częścią wspólnej historii „czasu zagłady” – powinno więc być jednym ze znaków przekazu. Jeśli te wspomnienia pomogą w zbliżeniu między ludźmi różnych kultur i wyznań, przekraczaniu granic, które nas dzielą, to wydaje mi się, że warto było wrócić do tej całej bolesnej przeszłości.

Wreszcie – nie wolno nam nie dostrzegać aktualnej rzeczywistości świata, w którym żyjemy i wciąż

„Chodzimy nad piekłem
oglądając kwiaty”



POCIŁKOWSKA Zofia

